

Rok V.
Kraków, dnia 9 lipca 1911 r.
Nr. 28.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Służba Ojczyźnie.

Są słowa i wyrażenia, które wydają się bardzo wzniosłemi i górnie brzmiącemi, a w rzeczywistości zawierają treść bardzo prostą i w codziennem życiu zastosować się dają. Do takich wyrażeń zaliczyć można: »Służbę Ojczyźnie«. Niejeden wyobraża sobie przez nie coś nadzwyczaj trudnego; inny znów sądzi, że potrzeba do niej stać na wybitnem stanowisku, być politykiem, pisywać dzieła, lub, co najmniej, artykuły do gazet; a mało kto widzi, że każdy obowiązek spełniony, każda godzina uczciwej pracy, tą właśnie »służbą« być może. Obowiązki względem kraju ma równie dobrze ojciec rodziny, jak gospodyni; młodzieniec, jak dziewczyna. Nikomu nie wolno uchylać się od nich; nikt nie jest dość małym i nieznaczącym, żeby czegoś nie mógł uczynić dla naszej ukochanej Ojczyzny.

Weźmy życie gospodarza. Na własnych paru morgach siedząc, orze, sieje, zbiera, chałupę naprawia, czasem na targ czy jarmark spieszy i tak życie schodzi, zdawałoby się w codziennej trosce, prawie jak w jarzmie przy pługu. A jednak, gdy zapobiega, oszczędza, rachuje; gdy coraz lepiej ziemię uprawia, coraz więcej dla dzieci odkłada, tem samem zapewnia im posiadanie owych kilku morgów i broni wstępu żydowi czy Niemcowi na ojcowiznę, na polską, rodzinną ziemię. Ojczyźnie służy! Gospodarz-ojciec może strzedz synów, by nie zarzucali dawnego swojskiego obyczaju; by nie psuli mowy własnej obcemi słowami; by w poszanowaniu mieli strój ojcowy, sukmanę, czy świtkę i czapkę czerwoną, nie szli za modą i na obczyznę. Gospodarz, pan domu, niech dba o pacierz i pieśń pobożną domowników, niech książki czy gazety użyczy, niech nie puszcza do swej chałupy bałamutnej i przewrotnej półmądrości.

Matka, żona, gospodyni ma zadanie niemniejsze, niełatwiejsze, choć inne. Do niej należą dzieci, póki małe, czy młode, póki w chacie. I pamiętać powinna, że to, co z chaty wyniosą, to na całe życie ich skarb, albo ich ubóstwo. Więc ona je nauczyć powinna, co to kochać ziemię, ojczyznę, obyczaj. Gdy zaniedba — nie dogoni już nigdy. Bo przy troskach późniejszego wieku, przy własnem gospodarstwie, uczyć się już zapóźno i czasu brak. Dzieckiem, młodzieńcem, dziewczyną trzeba napić się tego uczucia, tego ducha, tej mocy, która potem, w najtrudniejszych chwilach nie pozwala zapomnieć, żeśmy nietylko jednostką, nietylko bratem, mężem, właścicielem, sąsiadem, ale nadewszystko synem polskiej Ojczyzny.

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
Ten potem zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.

Tego nauczyć musi — matka. A matka-gospodyni może jeszcze wychować nietylko własne swoje, rodzone dzieci. Od jej stołu zbędzie przecież zawsze jakaś chleba kromka, albo garść ziemniaków, żeby pożywił się sierota jaki, albo może nawet i całkiem wychował.

Nietylko niech naje się i wyśpi i zarobi swoją pracą na ten chleba kawał; ale niech wyrośnie na człowieka pożytecznego, na uczciwego robotnika na ziemi polskiej, to pomnożą się siły narodu. Gdyby nie ona, zmarniałby, zginął, może inaczej, t. j. nie dowiedziałby się nigdy, jaka jest jego ojczyzna i jak dla niej żyć można.

W innej niż czasy dzisiejsze przeszłości wolno nam było dla kraju umierać, śmiercią służyć krajowi na polach Grunwaldu, Chocima, pod Wiedniem, czy pod Grochowem.

Dziś trzeba mu służyć życiem. — Trzeba dla kraju żyć, co trudniej czasem nawet, ale co także jak tamte zgony, czeka zwycięztwo.

„Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują Cię tylko umysły poczciwe!“

Rozbójnicze gniazdo.

I.

Zameczek na kresach. — Niepewny podstarości. — Pan miecznik i jego rodzina. — Odkrycie dokumentu. — Wyprawa po skarb. — Młody Janasz.

Jesień pozłociła już dąbrowy, lasy stały w tych sukienkach różnobarwnych, które kładną, nim mróz liście zwarzy, a wicher je rozniesie po świecie. Na polach jeżyła się ścierń żółta i gdzieniegdzie spóźniony tylko owies leżał w kopach roztrzęsionych; zasiewy ozime czerwieniały miejscami lub zielenią majową łudziły oczy. Wędrowne ptactwo odlatywać zaczynało. Mało było ruchu na drogach i łanach; ludzie, zebrawszy, co Bóg dał, do domu, gospodarzyli w obejściach swoich. Szlachty rycerskiej wiele było wyciągnęło z królem Sobieskim z Polski pod Wiedeń; nadstawiano ucha: co stamtąd przyjdzie? czy odgłos zwycięztwa, czy okrzyk klęski? Chrześcijański król musiał iść w obronie stolicy cesarstwa, walczyć i powstrzymać nawałę dziczy, która groziła Europie. Niejeden przecież potrząsał głową, lękając się, aby ta wojna na kraj zemsty nie sprowadziła.

Na kresach było chwilowo bezpieczniej, bo się Turcy z wielką siłą wybrawszy na cesarstwo, a pociągnąwszy za sobą ordy tatarskie, nie mieli czasu zabawiać się napaściami na granice.

Od czasu jak Turcy Kamieniec*) zajęli i zamki poobsadzali, mało kto ważył się mieszkać w tych stronach, i wprzódy już dość pustych. Majętności, jakie tam szlachta posiadała, przez rządców i dzierżawców trzymane, rzadko pana widywały, a płacił z nich, co kto chciał, najczęściej nic. Pustoszały i zarastały pola, niszczały zamki i dwory, czekano lepszych czasów.

Na granicy Podola, w kącie dosyć odosobnionym, między wzgórzami porosłemi dębiną i gęstemi krzakami, z pośrodka których gdzieniegdzie nagie boki skał wyglądały, stał zasunięty głęboko stary zameczek, niegdyś obronny, którego mury jeszcze się dotąd w dość dobrym stanie utrzymywały. Okolica była mało zaludniona, wzgórza po większej części lasem okryte, pól mało.

Drogi wiodące do niego były tak mało wyjeżdżone, że gdyby deszcze ich nie wymywały, dawno porosłyby chwasty. Gdziekolwiek wozy przejeżdżały, a wybiły koleje, popłynął deszcz, uniósł ze sobą glinastą ziemię i robił trwały gościniec. Mało go potem ludzka poprawiała ręka. Czasu na to nie było. Jeżeli w poprzek przebiegła woda i wyryła dół, nie stawiano mostu; co najwięcej rzucił kto dla przejazdu wiązkę chrustu lub trochę kamieni i po nich dostawano się na brzeg drugi.

Pomiędzy zielonemi wzgórzami, które się rozstępowały dosyć szeroko, tworząc dolinę, płynęła żartko mała rzeczułka Lesicą zwana; na skale nagiej nad stawem z niej powstającej, stał ów zamek stary, dawne czasy pamiętający. Od strony stawu wzgórze było pod nim oberwane, jak ściana, gdzieniegdzie wystającą najeżone skałą, z drugiej przekop, wodą napełniony, dzielił go od osady na podzamczu uczepionej.

Nędzna to była, nie wiedzieć, wieś czy mieścina.

Osadnicy po większej części uprawiali małe kawałki roli, niektórzy zajmowali się prostemi rzemiosłami, kilku żydów prowadziło jakieś tajemnicze handle. W rynku było parę domostw obszernych, ale tak samo z gliny i chrustu lepionych, jak chaty włościan. Nikt tu nie zmagał się na porządniejsze budowle drewniane, bo tatarskie napady były częste, a gdy się pogaństwo pokazało w okolicy, co żyło, biegło z całem mieniem na zamek, a tłuszcza paliła chaty i szopy.

Wprawdzie niejedna taka burza Gródek ominęła, bo i trafić do niego niebardzo było Tatarom łatwo, a szlaki ich dalej przechodziły i zapuszczać się w wąwozy wiodące w ten zakąt nie było bezpiecznie, gdyż lada garść żołnierza mogła zadać wielką klęskę.

Ludność, jeśli Lipki*) ją zaskoczyły tak, że na zamek zbiedz nie mogła, rozpierzchała się w lasy i góry pobliskie, gdzie też bezpieczne znajdowała schronienie. Starsi z osady znali wnijścia do pieczar tak ukrytych, że ich nikt w świecie dojść nie mógł a Tatar lasów nie lubił i tylko w polach harcował.

Zamek na cyplu miał mury, choć stare, ale krzepkie, z kamieni wzniesione przed laty, grube i wysokie dosyć; z tej strony, która na staw wychodziła, dwie baszty po rogach; od fosy i miasteczka, oprócz narożnych baszt, bramę obronną, także dwoma wystającymi bastyonami osłonioną. Tuż przed nią niegdyś zwodzony most być musiał, lecz dawno go nie stało i na fosie most lichy na palach wzniesiono, który w czasie niebezpieczeństwa rozbierano lub podpalano. Kilka śmigownic**) w murach, wprost nań wykierowanych, broniło przystępu. Stał jednak zamek, raczej siłą dawną budowy swej, niż staraniem, którego tu wcale widać nie było. Gdziekolwiek dachu kawałek został, składał się z krokwi odartych lub gontów słomą połatanych. Brama blachami okuta pordzewiała, i płaty z niej opadały.

Wszedłszy z miasteczka na zamek i szeroką minąwszy bramę, podwórzec widać było prostokątny, dosyć obszerny. W głębi, od strony stawu, stary piętrowy budynek murowany przypierał też niemal do murów. Gdzieniegdzie szopy pod murami widać było w dosyć złym stanie, a pod niemi, począwszy od odwiecznych kul kamiennych, połamanych wozów, zapasu drzewa, słomy, wszelaki sprzęt stary pozrzucany na kupy.

W podwórzu, oprócz wydeptanych kilku ścieżek i około bramy miejsca wydeptanego, kędy wozy stawały, rosła trawa i chwasty. Po murach czepiały się gdzieniegdzie dzikie krzewy, ożyny i drobne roślinki, z pośrodka kamieni dobywające się na świat. W jednem miejscu, płotem z kołków zagrodzonem, był mały ogródek warzywny; tam fasole, kukurydza, różne zielsko na parze grządek bujało.

Podwórze to, wchodząc od głównej bramy, zamknięte było w głębi murowanym domem, który niemal całą połać zasłaniał, wziąć je było można za zamczysko samo.

Nie kończyło się ono tu przecież i choć przez dom nie wiodło żadne przejście, w prawo i lewo dwie drożyny prowadziły do wąskiego, murami ściśniętego przesmyku, w którym warowna brama osłoniona przepuszczała do wnętrza. Bramę tę zupełnie nowsza snać budowa zakrywała. W pierwszym podworcu były jeszcze życia jakiegoś ślady, na drugim już pustka odwieczna.

Wrota wiodące w ciaśniejszy dziedziniec drugi, otwarte od wieków, wisiały na zardzewiałych wrzeciądzach, jakby się już zamknąć nie mogły. Kawał zarzuconego płotu chruścianego je zastępował. Można go było odchylić i, cokolwiek pod górę idąc,

*) Stolicę Podola Turcy zajęli w roku 1656 i trzymali ją do roku 1689.

*) Tak się nazywał najniebezpieczniejszy szczep tatarski.

**) Mała armatka.

przypatrzyć się opuszczonej warowni Przestrzeń zajęta nią była znacznie mniejsza, gdzieniegdzie obnażoną skałą szarą przecięta, wreszcie porosła trawami. Dwie baszty ze schodkami wznosiły się na rogach. Mniej więcej wpośrodku stał podnioślejszy budynek niewielki, kwadratowy, starożytny bardzo, lecz dziś już niezamieszkany. Drzwi i okna jego zczerniałe, zabrukane, pozamykane były. Gdzieniegdzie w górnych zabrakło błon w ołów oprawnych, a jaskółcze gniazda w wielkiej ilości okrywały swobodnie wszystkie muru wyłomy.

Oprócz podniesionego mieszkania na dole, dwa rzędy okien nieregularnie rozrzuconych w ścianach, dwa piętra wskazywały; główne drzwi we wgłębieniu muru po schodach od dziedzińca dosiądz tylko było można. Nad niemi wpuszczony kamień miał na sobie zatarte herby i napisy. Jeszcze wyżej w wyżłobieniu widać było mały posążek N. Panny z Dziecięciem Jezus na ręku. Okrywał je niegdyś z góry daszek, którego teraz tylko szczątki zostały.

Stada wróbli, którym tu nikt gospodarować nie przeszkadzał, przelatywały swobodnie, świegocąc dzień cały. W baszcie na prawo, w ciemnym kącie, siedziała stara, ogromna sowa, której może przez przesąd jakiś nie prześladowano. W nocy wylatywała na żer, we dnie drzemała w tym kącie, który za swe niezaprzeczone nawykła uważać dziedzictwo. Wróble tylko napadały je stadem we dnie, lecz nawykła do ich szczebiotunia, całkiem na zgraję krzykliwą nie zważała.

Zamek nie był wcale wesoły, a mieszkalną była zaledwie ta część, która w pierwszem podwórzu stała. Tu murowane domostwo, acz opuszczone, było bardzo obszerne.

Zajmował je pod te czasy, już od lat wielu, zwany podstarościm Paweł Dorszak, rządzący Gródkiem z przyległościami w imieniu miecznika*) Zboińskiego, którego dobra te były dziedzictwem. Na zamku od bardzo dawna ani dziedzic, ani z ramienia jego nikt nie postał. Dorszak się tu za pana samowładnego uważał, i choć raporta pisał czasem, czując się sam panem, rządził jak mu się podobało. — Kilka osad i wielka przestrzeń ziemi do Gródka należała, lecz nigdy z tego miecznik grosza nie miewał.

Od dnia do dnia a do spokojniejszych czasów odkładano uporządkowanie majętności, w której żyć nie było bezpiecznie, a gospodarować trudno.

Przed laty piętnastu, gdy zmarł stary podstarości, zjawił się u miecznika, mieszkającego w Lubelskiem, ów Paweł Dorszak, wcale mu nieznajomy, ofiarując usługi swoje. Za całe polecenie miał jakieś podejrzane pod pieczęcią świadectwo, jako u panów Potockich, na ich dobrach około Zbrucza kilka lat siedział, a wyszedł z nich tak, że do niego pretensyi nie miano.

Miecznik właśnie kłopotał się, kogo tam pośle, bo mało kto się ważył na kresy życie stawić i nędzę cierpieć, a wieczną groźbę tatarskiej niewoli. — Spadł mu jak z nieba ów Dorszak, choć się nikomu nie podobał. Chłop był jak wół ogromny, silny, czerwony, rudy, oczu dzikich i bystro biegających, uśmiechu niemiłego, śmiały i zawadyaka. Strój nosił z kozacka tatarski i z jednym pacholikiem do cygana podobnym na dwór przybył. Po polsku mówił, mieszając tatarskie wyrazy i plącząc się w mowie.

Opowiadał się małym szlachcicem od Halicza, ale o sobie i rodzinie mało mówił. Żonatym miał być i bezdzietnym. Za powierzony zamek i dobra gardłem chciał ręczyć, że je w całości dochowa. — Miecznik wahał się długo, tak mu przybyły był nie do smaku. Miecznikowa też odradzała: człek był nieznany, a świadectwo podejrzane. Lecz nie było nikogo, a w Gródku szkody uczynić nie mógł, bo oprócz murów, a ziemi choć żyznej, czynszów nigdy grosza nie widział. Szło to zawsze na reperacye, dachy, mosty. Złamany szeląg nie wpływał. Dorszak się klął, że dochód da i niemały. Zgóry nawet go obliczał. Dał się przeto namówić miecznik, i pełnomocnictwo przed aktami spisawszy, wyprawił nowego podstarościego.

Od tej pory listy wprawdzie przychodziły, ale pieniędzy wcale nic. Na naglące domagania się o przyjazd, o rachunki, odpowiedzi były wykrętne, często milczenie po kilka miesięcy, a potem pismo, w którem nie to stało, czego się spodziewano.

Miecznikowi, panu na Mierzejewicach, Opolu i Woli Zbrzeskiej, działo się bardzo dobrze, mógł się bez owego Gródka obejść wyśmienicie, przecież korciło go dobra mieć, a z nich grosza nigdy nie dostać, i jakby na urągowisko pisma takie, które przeczytawszy, w garści nieraz zmiął i w kąt cisnął.

Byłby sam pewnie się wybrał oddawna zrobić tam porządek, ano czasu nie było. Mąż był rycerski, rycerskiemi sprawy zajęty, więc jeśli nie na wojnie i nie w obozie, to na komisyi, to z poleceniem króla na sejmiku, na dworze itp. Tchnąć nie było czasu i nawet się w swoich Mierzejewicaah rozpatrzyć. Miał naówczas pan Zboiński lat pięćdziesiąt, a od kilkunastu żonaty był. Istny obraz ówczesnego szlachcica, zahartowanego za młodu, zdrów, przystojny, do konia i do korda dzielny, niezmordowanie czynny, zawsze myśli wesołej, do wszelkiego dzieła obywatelskiego gotów, do zwady i do biesiady stający stający ochoczo, długo w domu nie zagrzewający miejsca nigdy, miecznik był i szczęśliwy i kochany. Niczego mu na świecie nie brakło, bo i majątku starczyło i miłość była u ludzi.

Ożenił się też był jak nie można lepiej, pojąwszy jedyną córkę przyjaciela swego, Musińskiego, najpiękniejszą, najmajętniejszą pannę w okolicy, do tego humorem i charakterem jakby dla niego stworzoną. Musiński rotmistrz, hulaka trochę, ale z kościami był poczciwy. Rotmistrzówna zawczasu po śmierci matki nauczyła się w domu ojca gospodarować i rządzić, więc później zamąż poszedłszy — u miecznika wprędce wszystko w ręce wzięła. A była tego potrzeba wielka, bo sam pan czasu na to nie miał.

Nazywał ją mąż, całując po rękach, złotą Handzią swoją; a przez lat kilkanaście żyjąc z sobą, nigdy się jedno na drugie i zmarszczyć nie miało powodu. Po śmierci Musińskiego objął miecznik po nim majętność niemałą, tak że go za wielkiego pana miano.

Miecznik rzadkim był gościem w domu, a gdy przyjechał, gody i szczęście ze sobą przywoził, ale często nim konie od ganku odeszły, już je na jutro zamawiano. W jego niebytności miecznikowa gospodarstwo i ład domowy i interesa miała na głowie, nie licząc wychowania córki, z którą się nie rozstawała. Dwa tylko lata ostatnie Jadzia spędziła w klasztorze u ksieni Panien Brygidek, która była miecznikowej cioteczną. Wyrosło dziewczę jak dwie krople wody, do matki podobne, hoże, świeże, śmiałe i do pracy niezmiernie ochocze i czynne.

Gdy pod Wiedeń ciągnąć przyszło, wezwał Sobieski miecznika z sobą, powierzając mu dowództwo w wojsku komputowem. Byłaby się jejmość sprzeciwiła tej wyprawie dalekiej i niebezpiecznej, gdyby ona nie była przeciwko wrogowi chrześcijaństwa wymierzona, więc obowiązkiem, gdyby przytem kró-

*) Miecznik, urzędnik szlachecki w dawnej Polsce, który miecz przed królem nosił.

lowi co odmówić można było, i gdyby miecznik się dał powstrzymać.

Mowy więc o tem być nie mogło. Właśnie przedtem niedawno pozwał był sąsiad pana Zboińskiego o granice. Gdyby był po ludzku a po bratersku przybywszy sam zagaił sprawę, zgoda byłaby łatwą; ale słowa nie rzekłszy, miecznika przed sąd ciągnąć — oburzyło oboje.

Zboiński pięścią w stół uderzył.

— Zje kaduka — rzekł — papiery mam, obronię się, a nic... będę go choć po sądach ciągał, aby znał, co powinność braterska każe. Procesu mu się chce, będzie go miał, bo się lada pozwu, chwalić Boga, nie zlęknę.

Szło tedy o dokumenta. U pana miecznika papierów w domu nie było. Wszystkie jakie miał tytuły posesyi: działy, testamenta i odwieczne skrypta chowano na wypadek nieszczęścia w jednem miejscu. Jeszcze po dziadzie odziedziczony kuferek mieścił w sobie archiwum dosyć porządnie fascykułami pozwiązywane. Tam też spoczywały w rurach blaszanych mapy posiadłości.

Zaraz po otrzymaniu pozwu miecznik wezwał jejmości do siebie i zabrał się z nią razem do poszukiwania dokumentów granicznych. Robota była niemała, bo owe fascykuły niedobrze były uporządkowane. Niektóre z nich do spraw dawno ukończonych i do dóbr wyszłych z imienia się odnosiły. — Wszystko jednak przeglądać przyszło, bo akta graniczne głęboko gdzieś utkwiły.

Gdy tak oboje stare owe dzieje lustrowali, wpadł miecznikowej w ręce zwitek z napisem: »Papiery tyczące się Gródka Bracławskiego«. Odłożono go na bok. Znalazły się dokumenta graniczne. Zaczęto napowrót do kufra pakować, ale dawno niewidziany grodecki zwitek ciekawość samej pani obudził. Miecznik go też, jak powiedział, nigdy w rękach nie miał. Jedwabnym był sznurkiem zielonym związany, i snać długo z nim leżał, bo się wpił w papiery, a węzeł przypłaszczył, że go trudno przyszło rozplątać. Gdy nareszcie rozbierać przyszło pożółkłe notaty, trafiła się notatka niewyraźna, ręką dziada jegomości pisana, w której stało opisanie loszku zamurowanego na zamku i złożonych w nim ze skrzynią kosztowności i pieniędzy.

Miecznik nigdy o nich w życiu nie słyszał; lecz z opisu tego, co się tam znajdowało, mógł wnosić, iż ojciec ani dziad zamurowanej skrzynki nie dobyli. Można było przypuszczać, iż owa skrzynia po dziś dzień się na zamku jeszcze znajdować musi. Nie był to skarb tak znaczny, aby się oń zbyt troszczono; przecież ze spisu wnosząc, kilka a może kilkanaście tysięcy czerwonych złotych*) wynosił. Mogło być bardzo, że go ktoś tam domyślił się, wyszukał i przywłaszczył; wątpliwość wszakże zostawała, a miecznikowa gorąco się wzięła za to, że należało do Gródka jechać i skrzynię odzyskać. Tyle lat ona tam już przetrwała, że miecznik chciał czekać, ażby się wiedeńska wyprawa ukończyła, a on sam po nią mógł się wybrać. Jejmość była przeciwnego zdania. Zdało się jej, że Gródek obejrzeć, i Dorszaka gospodarstwo w miejscu osądzić czas był wielki, a nigdy bezpieczniej się to dopełnić nie mogło niż teraz, gdy Turcy i Tatarowie gdzieindziej byli zajęci. Ofiarowała się, jako dla rozrywki, bodaj z córką jechać, zapewniając, iż radę sobie da i przywiezie skrzynkę.

Zakrzyknął miecznik, nie chcąc na tę niebezpieczną wyprawę żadną miarą pozwolić, ale się złota Handzia uparła i na pół żartem, pół doprawdy zagroziła gniewem, jeśliby jej też, jak mówiła, na potrzebę tę iść zabroniono.

Długie o to były spory i niejeden dzień trwające; wszakże, jak się to pospolicie dzieje, gdy jejmość czego mocno zapragnie, na swojem postawi. Nierychło wreszcie zgodził się miecznik, choć z największą w sercu trwogą. Tatarowie, choć ich znaczna część wyszła, włóczyli się nad granicami, a dosyć było kupki małej, aby wielkie nieszczęście stać się mogło. Śmiała się z tego miecznikowa. Gdy przyszło do obmyślania wyboru w podróż, spory też powstały wielkie; bo ona chciała w małym poczcie, a mąż rad był dla bezpieczeństwa dać ludzi co najwięcej i dobrać ludzi co najdzielniejszych, na których się mógł spuścić bezpiecznie. Za warunek to położył, iż sam dwór i towarzystwo naznaczy.

Na dworze miecznika znajdował się naówczas daleki powinowaty, chłopak ubogi, ale wielkich nadziei, Janasz Korczak. Dwudziestoletnie pacholę, byłby on na wiedeńską wyprawę się wyprosił, gdyby nie przypadek, który mu takiego trudu podjąć nie dopuszczał. Najeżdżając konia pod miecznika, gdy się ten pod nim zwinął, Janasz nogę złamał. Wprawdzie mu ją doktor natychmiast wziął w leszczotki i młode kości doskonale się zrosły, ale mu jeszcze ani wiele chodzić, ani do znużenia jeździć nie dozwalano. Janasz się klął, że najmniejszego bólu nie czuje, że zdrów i siły ma, na wyprawę iść mu nie dał miecznik. Lecz gdy przyszło dwór dla jejmości zbierać, padł do nóg panu Zboińskiemu, aby się wprosić i dla bezpieczeństwa być dodanym. Trudno było mu oprzeć się, a prawdę rzekłszy, niemała to była rękojmia, bo Janasz ciałem i duszą był oddany miecznikowstwu, mężny był, przebiegły, roztropny i niezmordowany. Śmiało mu rodzinę mógł miecznik powierzyć. Staruszek kapelan, ksiądz Fabian Żudra, niewielką mógł być pomocą, lecz i ten aż wzdychał, nie śmiejąc się narzucić, a kraje nieznane bardzo pragnął oglądać. Staruszek krzepki był, nie uciążliwy nikomu, w rozmowie miły; miecznikowa go też zabrać przyrzekła. Do koni i dla obrony wybrano sześciu ludzi co najtęższych i do państwa przywiązanych. Oprócz tego dwóch hajduków, Hołoba i Trakienicz, i węgrzynek Giczy jechać mieli.

Janasz, choć najmłodszy, podejmował się dowodzić i marszałkować. Broń dla wszystkich ludzi, nietylko tę, jaką przy sobie mieć mogli, ale zapaśną, na wozy wzięto, koni luźnych od wypadku trzy, prochu i kul podostatkiem. A że krajem nie zawsze ludnym i gościnnym jechać miano, wszelkiego jadła, okrycia i czegokolwiek w podróży potrzeba, przysposobiono. Miecznikowa i o chorobie, uchowaj Boże, na kogo, pomyślała, ziółek i kropli i różnych leków upchawszy puzderko całe.

Mierzejewice więc na czas jakiś opustoszeć miały, bo miecznik z wojskiem ciągnął, a pani w drogę się zaraz wybierać chciała, aby przed zimą powrócić.

Zdawało się Zboińskiemu, iż najlepiej uczyni, gdy do Dorszaka przodem zaufanego człowieka pośle z kartką, oznajmiając mu o przybyciu pani, aby przynajmniej izby oczyszczone znalazła i co do życia było potrzeba zasposobione. Miecznikowi to humor na wyjezdnem znacznie popsuło; nie mówił nic, ale się lękał. Wprawdzie Gródek od napaści dotąd był wolny, ale okolica i sama bliskość Tatarów a włóczęgów niepokoiła go mocno. Przeciwnie, sama pani, córka, Janasz, co miał dowodzić wyprawą, ksiądz nawet, myśli byli najlepszej, i cieszyli się zawczasu tem, co oglądać i co przywieźć ze sobą mieli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Czerwony złoty czyli dukat, złota moneta polska.

JADWIGA I DYMITR Z GORAYA.



Przed rokiem obchodziliśmy wspaniałą uroczystość 500-letniej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Znane nam więc wszystkim są dzieje panowania Jagiełły, który przez pogrom Krzyżaków okrył się wiekopomną sławą, ale nie wszyscy znają dzieje biednej królowej Jadwigi, która swe uczucia najdroższe złożyła na ołtarzu ojczyzny.

Jadwiga zaręczona była z Wilhelmem, księciem austryackim i jego też kochała całem swem młodocianem sercem. Tymczasem Polacy ze względu na dobro kraju postanowili wydać ją za Jagiełłę, wskutek czego wzróść miała potęga Polski i chrześcijaństwa.

Panowie polscy klękali przed Jadwigą, i ze łzami zaklinali, aby się nie wzbraniała oddać ręki Jagielle; cóż miała biedaczka począć? jak Bogu ofiarować swoje utrapienie i zgodzić się na to, co widziała, że będzie z dobrem milionów ludzi.

Nieszczęśliwa królowa sama nie wiedziała co począć; żal jej było porzucać młodego, gładkiego Wilhelma, z drugiej strony chodziło jej także o to, aby Polska nie straciła tyle korzyści przez połączenie się z Litwą. Kłopoty jej jeszcze bardziej się powiększyły, gdy Wilhelm w towarzystwie różnych rycerzy i sług huczno przyjechał do Krakowa. Jadwiga pragnęła powitać ukochanego narzeczonego, a tu panowie bronią mu wstępu na zamek, gdzie mieszkała Jadwiga. Wtedy biedna królowa uchwyciła za topór i w największej rozpaczy chciała nim wywalić drzwi i pobiedz do swego ukochanego, aby się nim nacieszyć.

Przestraszyli się panowie, aby tym czynem nie zniweczyła ich zamiarów. Przypadł ku Jadwidze Dymitr z Goraya, a uchwyciwszy za topór, powstrzymał biedną królowę przed nierozważnym czynem. Ze łzami w oczach uspokajał ją i prosił, aby nie dała się powodować sercu, ale ufała raczej rozsądkowi.

Zrozpaczona usłuchała wezwania i prośby sędziwego Dymitra, ale mimo to nie przestała prosić, aby jej pozwolono widywać się z ukochanym Wilhelmem. Biedaczka niemało się napłakała, naprosiła i tyle przecież zmiękczyła swoich dozorców, że jej przecie pozwolono na krótki czas widywać się z Wilhelmem w klasztorze franciszkańskim; aż nakoniec, kiedy Jagiełło zbliżał się do Polski, Wilhelm musiał precz wynosić się z Krakowa.

Tymczasem tak kobiety, jak i dworscy zaczęli rozgadywać przed Jadwigą, że Jagiełło więcej jest podobny do zwierza, niż do człowieka, że cały jak niedźwiedź ma być kudłami zarośnięty. Słysząc to utrapiona królowa, aż drżała od strachu, a chcąc się o prawdzie przekonać, posłała jednego swego powiernika, aby jej sumiennie doniósł, czy Jagiełło naprawdę tak straszny. Powiernik ów widział Jagiełłę, a nawet widział go w łaźni i przekonał się, że człowiek jak drudzy, przytem z twarzy przystojny i miły, humoru wesołego, a obyczajów prawdziwie książęcych. Biedna Jadwiga odetchnęła więc cokolwiek.

Odetchnęła, ale mimo to nie była nigdy zupełnie szczęśliwą. W pożyciu małżeńskiem ceniła i poważała Jagiełłę, ale dawnej miłości nigdy zapomnieć nie mogła. I nic dziwnego, bo serce zawsze sercem pozostanie a nie da się nigdy skrępować w zupełności żadnemi prawami, ani przepisami.

I właśnie cała wielkość i świątobliwość biednej Jadwigi w tem się przebija, że mimo gorącej miłości dla Wilhelma była dobrą żoną dla Jagiełły.

Dalsze wyniki wyborów.

1. Z Galicyi wschodniej.

a) Okręgi miejskie.

Okręg 1. (Lwów 1) Wybrany został **Śliwiński** (dem. post.).

Okręg 28. (Stryj-Kałusz) Wybrany **Andrzej Moraczewski** (socyalista).

Okręg 30. (Żółkiew-Sokal) Wybrany **Dr. Steinhaus** (konserwatysta).

Okręg 32. (Tłumacz-Śniatyn) Wybrany **Stern** (demokr.).

b) Okręgi wiejskie.

Okręg 51. (Sanok-Rymanów) Odbędzie się wybór ściślejszy między Starowiejskim (kons.), Kuryłowiczem (moskal.) i Załozieckim (ukr.).

Okręg 53. (Sambor-Rudki) Wybrani: **Aleksander hr. Skarbek** (narod. dem.) i **Ks. Stefan Onyszkiewicz** (ukrain.)

Okręg 54. (Baligród-Stary Sambor) Wybór ściślejszy między Witykiem (ruski socyal.), Ks. Jaworskim (ukr.) i Osuchowskim (Polak.).

Okręg 55. (Dolina Kałusz) Wybór ściślejszy między Romańczukiem (ukr.), Zarańskim (Rada nar. p. dem.) i Dr. Łahodyńskim (r. rad.).

Okręg 56. (Peczeniżyn-Kołomyja) Wybór ściślejszy między Trylowskim (rus. rad.), Swobodą (Polak.) i Ławrukiem (rus. rad.).

Okręg 57. (Medenice-Stryj) Przy wyborze ściślejszy posłem mniejszości wybrany **Leon Lewicki** (ukrain.).

Okręg 58. (Borszczów-Zaleszczyki) Wybór ściślejszy między Okuniewskim (ukr.), Stefanykiem (ukr.) i Kaliszczakiem (Polak.).

Okręg 59. (Obertyn-Tłumacz). Wybór ściślejszy między Baczyńskim (rus. rad.), E. Lewickim (ukr.) i Aleksiewiczem (mosk.).

Okręg 61. (Przemyśl-Bóbrka) Posłem większości wybrany **Dr. Władysław Czaykowski** (kons.), mniejszości **Grzegorz Ceglińśki** (ukr.).

Okręg 62. (Rawa ruska-Uhnów) Wybór ściślejszy między Dniestrzańskim (ukr.), Łabeńskim (mosk.) i Wysockim (Polak.).

Okręg 63. (Złoczów-Przemyślany) Wybór ściślejszy między Dębskim (nar. dem.), Siengalewiczem (ukr.) i Markowem (mosk.).

Okręg 64. (Lwów-Gródek) Wybór ściślejszy między Abrahamowiczem (kons.), Ks. Folisem (ukr.) i Dębskim (fron. lud.).

Okręg 65. (Sokal Radziechów) Wybór ściślejszy między Markowem (mosk.), Petruszewiczem (ukr.) i Krausem (Polak.).

Okręg 66. (Brzeżany-Rohatyn) Wybór ściślejszy między K. Lewickim (ukr.), T. Staruchem (ukr.) i Senykiem (mosk.).

Okręg 67. (Jarosław-Radymno). Wybór ściślejszy między Wł. Kozłowskim (kons.), Cegielskim (ukr.) i Stańczakiem (mosk.).

Okręg 68. (Tarnopol-Zbaraż) Wybór ściślejszy między Zamorskim (nar. dem.), Hołubowiczem (ukr.) i Ostapczukiem (rus. socyal.).

Okręg 70. (Sokal-Podwołoczyska). Wybrani: **Adam hr. Gołuchowski** (konser) i **Petrycki** (ukr.).

2 Z Galicyi zachodniej.

Okręg 35. (Chrzanów-Jaworzno). Głosowało 18772. Otrzymali: Zarański 6.252, Dr Wróbel 6.278, Żuławski (soc.) 6.072.

Wybrani posłami: **Dr. Ignacy Wróbel** (ludow.) i **Jan Zarański** (dem. pol.).

Okręg 36. (Biała-Oświęcim). Głosowało 10.598. Otrzymali: Jan Kubik (lud.) 4.318, Ludwik Dobija 3.708, Stanisław Stohandel (Stoj.) 2·085.

Wybrani posłami: **Jan Kubik** (lud.) i **Ludwik Dobija** (chrześc. soc.).

Okręg 37. (Wadowice-Zator-Myślenice). Głosowało 14.898. Otrzymali: Banaś (lud.) 5.440, Średniawski (lud.), 5.532, Baścik (lud.) 4.102.

Wybrani posłami **Andrzej Średniawski** (lud.), i **Dr. Antoni Banaś** (lud.).

Okręg 38. (Jordanów Żywiec). Głosowało 17.457. Otrzymali: Józef Rusin (lud.) 5.454, Maciej Fijak (chrz. soc.) 5.445, Cezar Haller (pr. nar.) 6.558.

Wybrani posłami: **Cezar Haller** (praw. nar.) i **Józef Rusin** (lud.).

Okręg 39. (Limanowa-Nowy Targ). Głosowało 18.721. Otrzymali: Józef Ptaś (nar. dem.) 7.175, Stanisław Śmiłowski (lud.) 6.018, Józef Curuś (lud.) 5.538 głosów.

Wybrani posłami: **Józef Ptaś** (nar. dem.) i **Stanisław Śmiłowski** (lud.).

Okręg 43. (Ropczyce-Pilzno). Głosowało 15.759. Otrzymali: hr. Mikołaj Rey 6.548. Józef Staniszewski (lud.) 4.227, Michał Jedynak (lud.) 4.983.

Wybrani posłami: **Hr. Mikołaj Rej** (lud.) i **Michał Jedynak** (lud.).

Okręg 44. (Mielec-Dąbrowa). Głosowało 17.347. Otrzymali: radca Andrzej Kędzior (lud.) 8.152, Jakób Bojko (lud.) 6.481, Franciszek Krempa 2.714.

Posłami wybrani: **Andrzej Kędzior** (lud.) i **Jakób Bojko** (lud.).

Okręg 46. (Rzeszów-Kolbuszowa). Głosowało 12.587. Otrzymali: Angerman (lud.) 6.550, Lewicki (nar. dem.) 4.295, Szajer (wszech-polak) 1742.

Wybrani posłami **Klaudyusz Angermann** (lud.) i **Antoni Lewicki** (nar. dem.).

Okręg 48. (Nowy Sącz-Stary Sącz). Głosowało 19.780. Otrzymali: Ks. Gabryel Hnatyszak (mokal.) 4.754, Potoczek Jan (chrz. soc.) 8.009, Wincenty Myjak (lud.) 7.017.

Wybrani posłami: **Potoczek** i **Myjak.**

Okręg 49. (Gorlice-Biecz Jasło). Głosowało 11.902. Przy wyborze ściślejszym otrzymali: Jakób Madej 7.039, Ks. Zygmunt Męski (centr.) 4.863.

Wybrany posłem **Jakób Madej** (lud.).

Przy ponownych wyborach w Galicyi wschodniej i przy ściślejszych w Galicyi zachodniej wybrano zatem:

Konserwatystów 4: Czajkowski, hr. Gołuchowski, Haller, Dr. Steinhaus.

Ludowców 13: Angerman, Dr. Banaś, Bojko, Jedynak, Kędzior, Kubik, Madej, Myjak, hr. Rej, Rusin, Śmiłowski, Średniawski, Dr. Wróbel.

Wszechpolaków 3: Lewicki, Ptaś, hr. Skarbek.

Demokratów 3: Śliwiński, Stern, Zarański.

Socyalistę 1: Moraczewski.

Ukrańców 4: Cegliński, Lewicki, Onyszkiewicz, Petrycki.

Bezpartyjnych 2: Dobija, Potoczek.

* * *

Dotychczas wybrano ogółem 15 konserwatystów, 15 demokratów, 24 ludowców, 8 wszechpolaków, 7 socyalistów, 1 niezawisłego socyalistę, 7 ukraińców, 2 bezpartyjnych.

Przygoda organisty.

(Humoreska).

Dzień był skwarny, lipcowy. Chociaż słońce miało się już ku zachodowi, gorąco było takie, że się widziało, iż się człek stopi. Pan Maciej, organista, pasł krowę na powrozie po miedzach, pomrukując zawsze pod nosem i siepiąc ją za powróz. Ta, nie mogąc ognać się bąkom, koniecznie chciała wystroić gziwkę i palnąć do stajni. Ale Maciej co sił krowę przytrzymywał, a kapeluszem zbijał bąki.

— A gdzie się też ta tego paskudztwa niepotrzebnego dobiera na utrapienie ludzi i bydlęcą mękę — i znów palnął kapeluszem nie na darmo, bo aż trzy bąki potoczyły się na ziemię. Wtem dał się słyszeć głos pani Maciejowej.

— Do stajni!

Pan Maciej siepnął krowę za powróz i truchtem podążył za nią do stajni, uwiązał ją u żłobu i wszedł do izby, mówiąc:



— Któż to widział, in nomine patris, tak wczas kolacyą sposobić, kiedy najlepiej wieczorem krowa by się popasła.

— Ale bo wiedz, kochany Macieju, mamy niespodziankę — mówi żona — bo musisz dobrze się wyspać i jutro przez cały dzień sam gospodarzyć.

— Ave Maria, gratia plena! a to co znów nowego, jutro przecie niedziela. Jakże będę sam gospodarzył! — zawołał Maciej zdumiony.

— Nic nowego! Jutro jadę siostrze w kumy do Sącza — odparła Maciejowa i podała mu list z zaproszeniem.

Pan organista założył okulary na nos, czytał list czemprędzej, jak ewangelię, raz i drugi.

— Jadę zatem o trzeciej rano Skowronkowemi końmi — rozpoczęła na nowo Maciejowa — a wrócę wieczór koło dziewiątej; musisz więc, mój Macieju, sam jakoś gospodarzyć, krowę napaść. Janowa tu przyjdzie rano i w południe wydoić.

Pan Maciej Zawiasa był już dwadzieścia lat organistą w ubogiej wiosce górskiej K. Wysoki, chudy, nieco przygięty, z dużym nosem i wielkiemi wąsami, istny typ organisty. Choć coraz cieńsze opłatki piekał i mniej ich na rachunek było, ale go i tak ludziska lubili, bo grał w kościele i śpiewał jak się patrzy, a czego nie wygrał na organach, to dociągnął sumiennie swoim głosem, a czego głosem nie dośpiewał, to akuratnie wygrał. Organistówka składała się z dwóch morgów pola i kawałeczka ogrodu, więc pan Maciej chował sobie krówkę a czasem i cielątko. W ogrodzie zaś miał ładny sadek i pięć pniaków pszczół, z których się bardzo cieszył. Pan Maciej ożenił się przed 18 laty z panią Basią, jednakże potomstwa nie mieli żadnego, dlatego też chował sobie dziewczynę, służącą do pasania krowy i do pomocy w pracy. Ostatnia służąca z wiosną dała się uwieść ogólnej powodzi »na saksy« i wraz z całą bandą dziewcząt odjechała. Pan Maciej nie mógł namówić do służby innej, więc sam się obchodził z żoną, pasał zatem czasami krowę i w polu pracował.

Największym przyjacielem pana Macieja był pan Adam, miejscowej szkółki nauczyciel, to też jeden bez drugiego nie mógł się obejść. W każdą niedzielę albo pan Maciej był na obiedzie u pana Adama, albo pan Adam u Macieja. Który wpierw przyszedł do którego, ten zostawał na obiedzie.

W niedzielę, o której mowa, rano wczas wstał pan Maciej, a z pomocą Janowej załatwił interesa gospodarskie, chatę zamknął i poszedł do kościoła. Jeszcze przed dwunastą skończyło się nabożeństwo. Maciej czemprędzej pobiegł do domu, myśląc jak najprędzej uporać się z gospodarstwem i iść na obiad do Adama, bo gdyby też tak Adam wpierw przyszedł, nie zastałby obiadu z powodu wyjazdu żony.

Najgorzej trapił się o wydojenie krowy, a tu Janowej jak nie widać, tak nie widać. Poziera do okna pan Maciej nadaremno, mrucząc: In nomine patris, a to dopiero komedya z tą Janową! Wtem wpadła mu myśl do głowy, aby sam krowę wydoił. Porwał więc skopek, trochę wody, założył krowie koniczyny za drabinę i zabrał się energicznie do tej operacyi. Dzień był gorący, roje much brzęczały w stajence, jak w ulu. Krowa oganiała się rogami, nogami i ogonem, jak mogła. Zaraz przy obmywaniu wymienia pan Maciej dostał ogonem jak batem, kapelusz potoczył się krowie pod nogi. Za drugim razem poszły jego cenne okulary, a w dodatku krowa wskoczyła na nie nogą, tłukąc w drobne kawałki.

— A pater noster... a to co znowu? Za moje okulary żeby cię tysiąc osiemset... — mruczał pan Maciej i znowu otrzymał nowy cios przez same oczy.

— O poczekaj! jeszcze Maciej ma głowę na karku i sposób na wszystko... in sekulorum — krzyknął organista i związał włosienie krowiego ogona na węzeł i założył sobie na szyję. Potem wydobył z kieszeni glinianą fajeczkę i zapalił ją, mrucząc.

— Jak ja was tu podkadzę, to będziecie uciekać do stu pałek.

Rzekłszy to, puszczał ogromne kłęby dymu. Widać dym poskutkował, bo muchy zaraz zaczęły się oddalać i krowa nie śmigała ogonem, gdyż, naturalnie, nie mogła. Aż się Maciej uśmiechnął, zadowolony ze swojego pomysłu. Już wydoił połowę, gdy nieznacznie przypiekł fajeczką krowie do boku. Krowa kopła w szkopek, że tylko kawałki furnęły koło uszu Maciejowi, urwała powróz i wybiegła prosto w pole. Pan Maciej wyskoczył ze stajni jak z procy, uwiązany za szyję do krowiego ogona. Pędził, co tylko miał sił, ciągniony na arkanie.

Właśnie pan Adam szedł już w odwiedziny do Macieja, a widząc niezwykły wypadek, zawołał:

— Panie Macieju, a gdzież to Pan Bóg prowadzi?

Wtedy Maciej oparł się silnie nogami, wskutek czego krowa wyrwawszy włosienie z ogona, popędziła dalej a Maciej gruchnął na ziemię.

— A co u diaska — pyta Adam — co pan wyrabia?

— Nic, nic! — rzecze Maciej — jestem chory i zrujnowany! Fajka, okulary, skopiec!... Panie Adamie, pomóż mi tę bestyę wpędzić do stajni i cicho, sza!... Już nie pytaj się mnie o nic w tej materyi. Tymczasem krowa sama wpadła do stajni, a gdy ją Maciej uwiązał, rzekł pan Adam do niego:

— U ciebie widać zimna kuchnia, więc pójdź ze mną na obiad.

— Nie dzisiaj, kochany Adamie, nie dzisiaj! Jestem chory, oberwany, otrzęsiony, zapalony, gruce mnie duszą... in sekula sekulorum!... Idę leżeć. Zamelduj tam odemnie księdzu proboszczowi, że nie będę grał nieszporów, i ruszaj z Bogiem!

— A czy nie trzeba ci doktora?

— O nie, nie! Nie przyjmuję dzisiaj nikogo — wykrztusił jeszcze Maciej i zatrzasnął drzwi.

Pan Adam wracał do siebie, myśląc co się stało jego przyjacielowi, że tak bredzi. Nic innego, tylko dostał pomieszania zmysłów. Ruszył więc prosto na plebanię, opowiadając wszystkie szczegóły księdzu proboszczowi. Ten po wysłuchaniu rzekł:

— Nic nam nie wypada, kochany Adamie, tylko furkę posłać po lekarza do Sącza.

Napróżno Janowa za chwilę próbowała dostać się na organistówkę. Maciej zaryglował drzwi i tylko przez okno powiedział:

— Dzisiaj nikogo nie przyjmuję.

Maciejowa powróciła już zaraz po nieszporach i po drodze dowiedziała się, że pan Maciej zwaryował i nikogo do siebie nie puści. Z wielkim niepokojem zastukała do drzwi. Maciej w tej chwili otworzył i krzyknął:

— In nomine patris!... toś ty tutaj? Ja myślałem, że aż kiedyś w nocy powrócisz.

— A ja znowu tyle strachu zjadłam, aż się cała trzęsę. Porozpowiadali ludzie o tobie, że... że...

— Że co?

— Że cię jakieś nieszczęście miało spotkać — mówi zwolna Maciejowa, bojąc się całą prawdę powiedzieć.

— No, nieszczęście swoim porządkiem; pozbyłem się fajki, okularów, skopca...

— A coś ty sam krowę doił? przecie mówiłam Janowej.

— Deo gratias, Deo gratias! że też Janowa nie przyszła, bo kto wie, coby się było stało — byłaby ją może krowa zabiła, a jabym kryminału liznął.

— Ależ to takie spokojne bydlę!

— No ale teraz albo się wściekła, albo dostała jakiej angielskiej niebezpiecznej choroby.

W kilka chwil przyjechał doktor z pobliskiego miasteczka. Organista wielce się zdziwił, lecz lekarz oznajmił mu, że przysłano po niego do niebezpiecznie chorego organisty.

— A jak widzę — dodał lekarz — to pan zdrów.

— Deo gratias... tylko mię trochu szyja boli, ale to nic, tylko to ludzie coś podobnego o mnie upletli. Ja jestem zdrów, ale krowa mi coś szalenie zachorowała. Pan jednak nic nie poradzi, bo tu trzeba weterynarza.

— No, chodźmy do niej — rzekł lekarz.

Weszli do stajenki. Doktor zbliżył się do krowy, bo głowę wyciągnęła do niego, lecz Maciej zawołał:

— Nie zbliżaj się pan! ona się może wściekła.

— Trzeba jej dać jeść, bo głodna — z uśmiechem rzekł lekarz i oddalił się do domu.

Wkrótce cała sprawa się wyjaśniła, z której się wszyscy uśmiali serdecznie. ***Piotr Lipowiak.***



No, chwała Bogu, skończyły się te zatracone wybory i człowiek moze całą gębą swobodniej odetchnąć. Wam się moze zdaje, ze jak ja się zrzek kandydatury, to ludzie mi dali spokój? Acha! zackać! Tak się to bractwo we mnie rozmiłowało, ze ani rus ustąpić nie chciało, ino całą kupą głosy na mnie przy wyborach waliło.

Najpirsą wiadomość telegraficną na reśpodentce dostałem z Mogilan koło Podgórza, ze tam zostałem na posła wybrany jednogłośnie, a Kaśka Myrdalonka na zastępcę takoj jednogłośnie. W Gaju, koło Mogilan, zostałem wybrany na posła śtyrogłośnie.

Potem co minuta zacęły nadchodzić telegrafy z całego świata, na których było dokumentnie wypisane, ze wsędzie ludziska na mnie głosy walili i przez jeden dzień uzbirało się tego śtyrdzieści jeden. Kaśka, jako to płeć na rozumie słabsa, ni miała takiego wzięcia nawet na zastępcę, bo zebrała ino trzydzieści pięć głosów.

Rozindycyło mnie takie lubienie ludzkie, ale nie chciałem w zaden sposób być posłem. Padali mi ludzie, ze socyalisty dostali na wybory od Prusaków moc piniędzy i głosy kupują gdzie się da i za ile się da.

— Ha — myślę sobie — człek honor juz z głosowania ma, zeby się tak dało jesce parę szóstek okroić, toby było wszyćko w porzondku.

Wybrałem się więc do Dasyńskiego w Krakowie i padam:

— Słuchaj Ignac! mam tu śtyrdzieści jeden głosów — kup se je!

Ignac oglądnął mnie na wsyćkie strony i gada:

— Twoje głosy są z takich powiatów, gdzie głupich ludzi mało, to mi się one na nic nie przydadzą, bo ja tam kandydował nie będę, a choćbyś miał i z pod Krakowa, to za darmobym je wziął, ale płacić nie będę. Tu pod Krakowem taka chmara ludzi głupich, ze mi i za durno głosy dadzą, — a grajcary od Prusaków to ja wolę schować la siebie.

— Takiś ty samolub — myślę se — udajes przyjaciela la chłopów a grajcary sam chowas.

La tego tez moje śtyrdzieści głosów schowałem se na przysłe wybory, moze się przydadzą.

Tak więc wybory la mnie skończyły się z chwałą, choć nie kandydowałem, ale Tatuś Stojałowski to je klnie na cem świat stoi. Jakze nie ma kląć, kiedy lunął dwa razy: w bocheńskiem i chrzanowskiem.

A gadałem mu, ze kto chce dwie sroki złapać za ogon, to ani jedny nie uchwyci. A lunął przezemnie, bo mnie zacął w swoich gazytkach brać na języki, tylo ze ja gadał na niego mądrze a on inacy.

I zeby to choć sam lunął, ale on pociągnął za sobą i swoich kamratów, bo: Siajer lunął, Paduch lunął, Wiącek lunął, Stohandel lunął, Fijak lunął, Fidler lunął, a przy ostatku to Stojałowski sam się spaskudził, bo w chrzanowskiem kazał głosować na socyalistę.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

Osnowę do wypadków będących przedmiotem niniejszego opowiadania, dały autorowi stare papiery rodziny X. Zaciekawiony szczególnością faktu, począł skądinąd czerpać wiadomości, przepytywać się między dziećmi, wnukami, a nawet prawnukami, (tak szybko bowiem żyją obecne pokolenia), osób działających w tym dramacie i badania te uwieńczone zostały szczęśliwym skutkiem. Jeden z wyżej wspomnianych wnuków wręczył mu nawet grubą paczkę rękopismów, odnoszących się, jak mówił, do sprawy »wezyrskiego rubina«. Jakoż, przeglądając takowe, znalazł w nich autor kilka zeznań osób, czynnych w samej sprawie, spisanych na żądanie głównego jej działacza, które to zeznanie autor uznał za stosowne umieścić tu w całości, nic nie dodając ze swej strony, ani ujmując. Zeznania te spisywane były w celu przeprowadzenia na drodze sądowej sprawy, która mogła rzucić cień na całe życie głównego bohatera tej dziwnej, niezwykłej, że tak powiem, historyi. Autor zmienił tylko nazwiska wszystkich prawie osób, występujących w niniejszem opowiadaniu, ze względów zresztą dla każdego widocznych, żeby się miał z nich tutaj tłumaczyć.

OPOWIADANIE PIERWSZE.

Opowiada pan Kazimierz Kosa, porucznik trzeciego pułku ułanów Księstwa Warszawskiego.

I. Kwatera we dworze.

Zamierzam spisać szczegółowo wszystkie osobliwsze wypadki, jakie w ostatnich miesiącach mię spotkały i w jakich miałem pierwszorzędny, niestety, udział. Czynię to zaś dlatego, ażeby wobec czekającej mię wojny, wobec licznych a może i niepokonanych trudności, jakie mię spotkać mogą i spotkają zapewne, nie zapomnieć o niczem, niczego nie pominąć, oraz żeby opowiadanie moje potwierdzone przez osoby świadome rzeczy, mogło w danym razie służyć jako dokument sądowy.

Dnia 25 maja 1810 roku otrzymałem piśmienny rozkaz od mojego rotmistrza, ażebym w dniu 1 czerwca wyruszył z moich zimowych leż, jakie miałem w Kielcach [1]) i stanął na letnich biwakach we wsi Grzymale pod Stopnicą.[2]) Przyznam się tutaj szczerze, iż rozkaz ten z pewną niechęcią przeczytałem. Byłem, młody, liczyłem bowiem wówczas dwudziesty szósty rok życia, żądny zabaw, ruchu, towarzystwa, przekonany nakoniec, że po nudnych leżach zimowych w takiem miasteczku jak Kielce, lato z moim plutonem [3]) oraz z całym pułkiem przepędzę w Warszawie, w stolicy, gdzie tyle zabaw, takie życie... A tu nagle otrzymuję rozkaz: wynoś się na całe lato na wieś, zakop się w jakiejś dziurze, gdzie może nawet nie będzie z kim pogadać! Klątem na czem świat stoi.

— Co ja tam będę robił? — mówiłem sobie — dyabli wiedzą, co temu rotmistrzowi strzeliło znów do głowy. Wyprawiać mnie do jakiejś Drzymały, Grzymały!... do stu tysięcy batalionów! to okropne! Ledwie człowiek tę zimę przepędził, grając w warcaby z księżmi, i zaledwie na jednym balu byłem, cieszyłem się Warszawą, a tu Drzymała... A niechże cię sto tysięcy kartaczy!...

Lecz trudno, musiałem słuchać. Przez kilka dni, jakie jeszcze przepędziłem w Kielcach, oprócz koniecznych pożegnalnych wizyt u znajomych mi osób, starałem się wywiedzieć coś o tej niefortunnej Grzymale, którą przezwałem Drzymałą na znak, że przyjdzie mi tam chyba przedrzymać całe lato. Niewiele mi umiano powiedzieć, dowiedziałem się tylko, że to jest bardzo ładny majątek, należący do regimentarza Bogdańskiego, który tytuł ów,[4]) jak sami przyznacie, dość zabawny, nosi jeszcze z czasów konfederacyi barskiej, w której podobno niepoślednie zajmował stanowisko; że wieś ta leży o parę mil od Stopnicy, ale na uboczu od gościńców, że wprawdzie jest w pięknem położeniu, ale że mi tam nie będzie zbyt wesoło, bo ów regimentarz jest już starcem, liczącym siedmdziesiąt kilka lat, nikogo u siebie nie przyjmuje i zdaje się jest całkiem samotny.

— A to mi piękne letnie kwatery wybrał rotmistrz! — myślałem sobie — dziurę jakąś, zabitą deskami od świata, w której siedzi stary sknera i samolub, bo oczywiście musi to być samolub i w dodatku zowie się regimentarz. Po kiego dyabła dawano ludziom takie tytuły!... a niechże cię kule biją! Jeżeli w tym roku jaka wojna nie wybuchnie, to przyjdzie mi chyba zmienić porucznikowskie szlify na habit mniszy. Czyste rekolekcye!

Wszystkie moje narzekania atoli na nic się nie zdały — rozkaz był wyraźny i trzeba było maszerować. Wysławszy na parę dni wprzódy kwatermistrza naszego, żeby nam przygotował kwatery i żywność, dnia 1 czerwca wyruszyłem w pochód. Ponieważ dnie już były gorące a rozkaz polecał mi dokonać mego przeniesienia się do Grzymały w dwóch marszach, więc wyszedłem z Kielc wieczorem i idąc kilka godzin nocą, stanąłem na pierwszym etapie w Pierzchnicy, nędznej mieścinie, gdzie nawet porządnej pieczeni dostać nie mogłem. Tu przepędziwszy cały następny dzień, wyruszyłem dalej w drogę dość już późno w nocy, bo około 12, kierując się tak, ażeby nazajutrz około godziny 6 rano stanąć w owej Grzymale, do której jechałem z niechęcią i dziwnie jakiemś złowrogiem przeczuciem. Przeczucie to moje wzmogło się się jeszcze bardziej, gdym zakomenderował na wychodnem z Pierzchnicy:

— Dwójkami od prawego, stępa — marsz!

Koń mój w żaden sposób ruszyć nie chciał. Napróżno wpakowałem mu obie ostrogi, uderzyłem go kilkakrotnie płazem mej szabli — stawał dęba, sadził szczupaki, a ruszyć nie chciał. Było to tem dziwniejsze, że szkapa była spokojna i cicha jak panienka. Dopiero ordynans mój wziąwszy go za cugle, przy ciągłem wzdraganiu się i oporze, wyprowadził go z miasteczka.

Przyznaję się otwarcie, co wreszcie jest cechą charakterystyczną wszystkich żołnierzy, że jestem przesądny. Moja niechęć, moje przeczucie złowieszcze, opór mego konia, kazały mi się spodziewać jakiegoś fatalnego nieszczęścia w Grzymale. To też ze ściętem sercem jechałem do niej. Na dobitkę po północy zerwała się szalona czerwcowa burza, która nas spotkała w gołem polu, w czasie marszu, na bocznej drodze i wśród nocy. Wicher wył jak wściekły, deszcz lał jak z cebra, a pioruny biły jeden za drugim. Jak powiadam, nie było się gdzie schronić, więc maszerowaliśmy dalej po niegodziwej, gliniastej drodze, która rozmoczona ulewą, stała się grząską i błotnistą, tak że konie brodziły w niej po pę-

[1]) Duże miasto w południowej części Królestwa Polskiego.

[2]) Miasto powiatowe niedaleko Wisły.

[3]) Plutonem nazywał się w wojsku polskiem oddział około 30 żołnierzy, pod komendą podporucznika albo porucznika. Cztery plutony stanowiły szwadron w kawaleryi a kompanię w piechocie.

[4]) Konfederaci barscy podzielili się na oddziały, które z niemiecka nazywali regimentami.

ciny. Nad ranem dopiero deszcz ustał i niebo wypogodziło się zupełnie. Zły, zgryziony, klnąc na czem świat stoi, koło godziny 7 dobiłem się przecież do owej Grzymały.

Wioska przy złotych promieniach słońca, płynącego po czystem niebie, przedstawiała się nam bardzo dobrze. Rozrzucona na wzgórzach, wpośród drzew i krzewów, pełna świeżości i woni, do czego zapewne przyczyniało się oczyszczone przez burzę powietrze, wyglądała jak jeden duży ogród. Poza wsią na wzgórzu sterczały jakieś ruiny, a jeszcze dalej wśród masy drzew bielał duży, murowany dom, czerwoną dachówką kryty, który oczywiście musiał być dworem.

Na drodze spotkaliśmy naszego kwatermistrza, który wyjechał naprzeciwko nas i zaraz sie zajął rozkwaterowaniem plutonu po wsi. Razem z nim dokonałem tej czynności, bo zwyczajem moim było wiedzieć, gdzie i jak stoi żołnierz — poczem z ordynansem i kwatermistrzem udałem się do dworu. Droga z kończącej się wsi wchodziła w wąwóz. Niedaleko tego wąwozu na wzgórzu sterczały owe ruiny, wśród kilku kęp drzew, zachowując w całości kształty kościoła. Jak mię objaśnił kwatermistrz, były to ruiny kościółka amerykańskiego czy kalwińskiego. Poza wąwozem, o dobry kawał drogi, wznosił się na wzgórzu dwór, do którego wiodła pyszna aleja, wysadzona lipami.



...Na ganek wyszedł staruszek siwiuteńki.

Była godzina 8 rano, kiedym na moim koniu, obryzgany błotem, zmoczony i brudny, wjechał w tę aleję. Na jej końcu wznosił się wielki dom murowany, piętrowy, z gankiem wspartym na dwóch filarach, — całość trochę staroświecka, ale pańska. Za nim widocznie rozkładał się duży ogród. Nie pytałem wcale kwatermistrza kto mieszka we dworze, bo zdawało mi się, że wiem, wreszcie byłem zniechęcony zupełnie. Milcząc więc, zajechaliśmy przed ganek, okrążywszy dużą grządkę kwiatów, na środku której był kamienny basen, z bronzowym posągiem smoka, z którego rozwartej paszczy zapewne czasami tryskała woda. Sam dwór, gdym się mu bliżej przypatrzył, był wcale ładnym, ze starożytną cechą. Po słupach ganku, koło okien, wszędzie prawie wił się bluszcz i dzikie wino, nadając całości charakter pełen ciszy, spokoju i cienia. Większa część okien tak na dole, jak na pierwszem piętrze, miała zapuszczone zielone zasłony. Cisza tu zresztą panowała zupełna — po dziedzińcu przechadzała się poważnie para pawiów — a z rozwartych kielichów kwiatów, róż, lewkonii, przyjemna woń wypełniała powietrze.

— Wcale to jakoś nie wygląda na siedlisko sknery i samoluba — pomyślałem sobie, zsiadając z konia i oddając go ordynansowi.

W tejże chwili na ganek wyszedł staruszek jakiś, siwiuteńki jak gołąb, z wąsem dużym a białym jak mleko, z twarzą pomarszczoną, suchą, ale miłą, z okiem siwem, które z pod białych, krzaczastych brwi patrzyły groźnym marsem. Na głowie miał białą rogatywkę — ubrany zaś był w długi, kawowego koloru żupan kitajkowy, przepasany pasem z siatki i buty niegdyś żółte, obecnie zblakłe porządnie. Stał podpierając się na lasce, a za nim paru sług w czarnej liberyi.

Skorom zsiadł z konia i skierował się ku schodom ganku, staruszek ów, przyłożywszy dłoń do oczów od światła, zawołał drżącym ale donośnym głosem:

— Witam waszmość pana, panie poruczniku, proszę, proszę dalej!

Wszedłem na kamienne schody ganku, dzwoniąc szablą i ostrogami i przykładając po wojskowemu rękę do czaka, rzekłem:

— Mam honor się przedstawić — jestem Kazimierz Kosa, porucznik pułku ułanów.

Staruszek popatrzył na mnie chwilę, poczem przyłożywszy rękę do ucha, rzekł:

— Mów panie poruczniku głośniej, stary jestem i nie dosłyszę; od czasu jak mi te bestye harmaty pod Lanckoroną coś popsuły mociumdzieju w uszach, tak już nie słyszę.

Powtórzyłem więc moje nazwisko, czego staruszek wysłuchawszy bardzo uważnie, ozwał się:

— Bardzo mi przyjemnie, że waszmość, panie poruczniku, przepędzisz tu lato u mnie i spodziewam się, że nie będziesz się nudził mociumdzieju.

— I ja tak się spodziewam, panie dobrodzieju.

— Regimentarzem mnie zowią — bom to tam czasu konfederacyi barskiej regimentował Województwu Sandomierskiemu.

Rzekłszy to, obrócił się żwawo do sług i zawołał:

— Łukawski! sam tu do mnie!

Na to podbiegł stary człowiek w dreliszkowym żupanie szaraczkowym, z sumiastemi wąsami, szpakowaty dobrze i stanął wyprostowany przed regimentarzem, czekając rozkazu.

— Stajnię dla koni! osobną mociumdzieju, rozumiesz!

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie regimentarzu!

— Owsa dasz, co się zmieści, siana!

Poczem, obracając się do drugiego sługi, rzekł:

— Zaprowadzisz pana porucznika do jego komnaty na piętrze — i dodał do mnie:

— Ja już jestem po śniadaniu, bo śniadam mociumdzieju po staremu, bardzo wcześnie — ale może zjesz co, panie poruczniku?

W istocie byłem głodny — skłoniłem się więc potwierdzająco.

— A no... jak panny zejdą, to poproście pana porucznika — odezwał się do sług.

— Są więc panny — pomyślałem sobie — nie tak mi tu będzie źle, jak się zdawało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

Z TYGODNIA.

Nowa rada państwa zwołana została patentem cesarskim na dzień 17 lipca. Ta pierwsza sesya potrwa zapewne niedługo. Nie będą na niej załatwiane żadne ważniejsze sprawy, tylko rząd musi uzyskać zatwierdzenie rozporządzeń, które wydał na podstawie § 14 konstytucyi, to jest na własną rękę, ponieważ nie urzędował parlament. Rada państwa otwarta będzie, jak zawsze, mową tronową, wygłoszoną przez cesarza, a napisaną przez prezydenta ministrów, w której rząd wyłoży swój program polityczny. Potem może się rozpocząć dyskusya w Izbie czy i jakiej treści ułożyć adres do cesarza, w którym Izba wypowiedziałaby, co sądzi o programie rządu. Taki adres nie zawsze bywa jednak uchwalany.

Stronnictwa w Izbie poselskiej będą mniej więcej w takiej samej sile jak dotychczas: zmiany zaszły tylko w sile stronnictwa niemieckiego chrześcijańskiego czyli antysemickiego, które poniosło porażkę zwłaszcza w stolicy, w Wiedniu. Wzmocnili się natomiast socyaliści.

Zmiany w gabinecie ministrów. W ubiegłym tygodniu ustąpił z zajmowanego stanowiska dotychczasowy prezydent ministrów baron Bienerth, który dawniej opierał się na chrześcijańsko-społecznych Niemcach, a gdy ci wyszli osłabieni z wyborów, ustąpił. Następcą jego został dawniejszy prezydent gabinetu br. Gautsch, do którego cesarz ma oddawna wielkie zaufanie. Bar. Bienerth został namiestnikiem Dolnej Austryi i przepowiadają, że pewnie jeszcze kiedyś powróci do najwyższego urzędu w państwie. Oprócz niego wystąpili z gabinetu: minister handlu Weisskirchner, chrześcijańsko społeczny, z tego samego powodu co br. Bienerth, to jest osłabienia tego stronnictwa, oraz polski minister kolei Dr. Stanisław Głąbiński, ponieważ jest narodowym demokratą a Wszechpolacy, jak wiadomo, ponieśli wielką porażkę przy wyborach.

Palenie zwłok w Prusiech uchwalone! Izba panów sejmu pruskiego przyjęła zasadniczy paragraf ustawy o dowolnem paleniu ciał nieboszczyków 92 głosami przeciwko 86, oraz całą ustawę 90 głosami przeciwko 84.

Powstanie Albańczyków, które się miało ku końcowi, znowu się zaczęło na nowo. W ostatniej chwili donoszą nam, że położenie polityczne między państwami zaczyna się psuć. Czarnogóra zamierza wkroczyć zbrojnie do Turcyi, aby wspomódz Albańczyków i zmobilizowała dywizyę strzelców. Zaprotestował przeciwko temu poseł austryacko-węgierski w imieniu cesarza i wyjechał z Czarnogóry na znak gniewu. Może być z tego burza wojenna.

W Marokku stała się rzecz ważna, mianowicie Niemcy, które krzywem okiem patrzyły na postępy Francyi w tym kraju, niespodziewanie wysłały do portu marokańskiego Agadir dwa okręty wojenne i zapowiedziały, że wysadzą z nich wojsko na ląd. Na to oburzyły się inne państwa i zaczęły się rokowania między ministrami. Najważniejsze, jak się zachowa w tym wypadku Anglia, która najskuteczniej może poskromić Niemców, a jest w przyjaźni z Francyą. Rozwikłanie możliwe jest takie, że albo wszystkie państwa wycofają swoje wojska z Marokka albo wybuchnie wojna francusko-niemiecka, a za nią europejska. Zdaje się, że zakończeniem będzie zgoda, którą uchwalą na nowem zebraniu polityków europejskich, zwanem konferencyą.

KRONIKA.

Geometra cywilny z upoważnieniem rządowem Z. Gerstenfeld złożył dziś przepisaną przysięgę. Biuro otworzył w Krakowie przy ulicy Długiej 26 i wykonuje wszelkie roboty w zakres ten wchodzące.

(J. K.) **Wielka uroczystość.** W dniu ś. Piotra i Pawła tj. 29 czerwca odbyła się w cudownem miejscu, w Milatynie Nowym, wielka uroczystość. — Przyjechał był Najprzewielebniejszy Arcybiskup ks. Józef Bilczewski. Przed drzwiami kościoła wystawiono wielką bramę tryumfalną, przybraną w zieleń i chorągwie w kolorach narodowych, na której widniał napis: »Witaj nam Arcypasterzu«. Dziedziniec kościoła i wieża kościelna przystrojone też były w chorągwie biało czerwone. Zaiste miły widok. — Wierni na kilka dni przed uroczystością szli po kilkadziesiąt mil piechotą, aby tam przed obrazem cudownego Jezusa Milatyńskiego złożyć swoje łzy niedoli a prosić o lepsze jutro, o lepszą dolę. Jak w kościele tak i na dziedzińcu odbywało się równocześnie po kilka mszy św., bo kościół, chociaż dość obszerny, nie był w stanie pomieścić tysięcy ludzi, przybyłych z najodleglejszych okolic.

W kościele i na dziedzińcu stał konfesyonał koło konfesyonału, a wszystkie oblężone były przez wiernych, pragnących wyspowiadać się. I serce się radowało, gdy się patrzyło, jak to ten biedny naród polski setkami garnął się do Komunii św. i jak się radował potem, gdy Boga prawdziwego do duszy przyjął. Księża ledwie że radę sobie dać mogli, mimo że ich mnóstwo było. O godz. 12 w południe jeszcze spowiadali ludzi.

Równocześnie odbywały się dwie sumy. W kościele odprawiał Arcybiskup ks. Bilczewski, druga była na dziedzińcu. Kazania powiedziały każdemu uczestnikowi, że ten jest prawdziwym Polakiem i synem zakutej w łańcuchy Ojczyzny, kto kocha Boga, kto szanuje i wyznaje świętą wiarę przodków swoich. Wszystkich uczestników było około 7 tysięcy. Pogoda przez cały czas sprzyjała tej uroczystości. I zapewne Milatyn nie prędko ujrzy tak wielką i podniosłą uroczystość.

Pożar ropy naftowej. Dnia 26 czerwca wieczorem, podczas gwałtownej burzy, uderzył piorun w olbrzymi ziemny zbiornik ropy naftowej, położony na wzgórzu w pobliżu Gorlic. Wkrótce wybuchł straszny pożar; morze płomieni objęło palny materyał. Pożar, widny w szerokiej przestrzeni, trwał całą noc. O ugaszeniu go nie można było myśleć. Nad ranem runęła przepalona ściana zbiornika. Paląca się ropa wylała się ze zbiornika i zalała szeroką na kilkaset metrów przestrzeń. Poprzez tor kolejowy i gościniec rządowy przedostała się ropa ku rzece, niszcząc szyny i słupy telegraficzne. Podczas owej strasznej nocy płonąca ropa rozlała się na przestrzeni pół kilometra kwadr., szerząc wokoło spustoszenie. Zniszczony tor kolejowy na przestrzeni 400 metrów, spalone dwa małe mosty: kolejowy i na gościńcu rządowym. Przez dzień następny i noc ropa paliła się dalej i ogień ustał dopiero, gdy się zupełnie wypaliła. Połączenie kolejowe między Gorlicami i Zagórzanami było przerwane. Szkoda wynosi 700 tysięcy koron.

(J. K.) **Śmierć w nurtach rzeki.** Dn. 25 czerwca w miejscowości Busku, na przedmieściu Ostatkowce utopił się czeladnik ślusarza Saleckiego. Nieszczęśliwy liczył lat 2. i nazywał się Mikołaj Andruszczyszyn. Zachęcony przez kolegów postanowił wykąpać się w Pełtwi. Kiedy był już w wodzie, która w tem miejscu była właśnie płytka, poszedł kilka kroków naprzód i nagle znikł pod powierzch

nią wody. Woda w tem miejscu z płytkiej przechodziła raptownie w głęboką. Koledzy rzucili się na ratunek, lecz, niestety, dopiero po trzech godzinach wyciągnięto biedną ofiarę z wody i zawieziono do trupiarni, gdyż wszelki ratunek był już zapóźny. Nad trumną nieszczęsnego tylko znajomi łzy uronili, bo był sierotą.

Z tego mamy najlepszy a zarazem smutny przykład, że nigdy nie powinniśmy się kąpać w miejscach nieznanych nam, bo nie wiemy dnia ani godziny, kiedy śmierć nas zabrać może na drugi świat.

(J. H.) **Pożar.** Dnia 24 czerwca b. r. o godzinie 10 rano powstał pożar we wsi Gruszowie koło Kawca w domu gospodarza Kaczmarza. Spalił się nietylko dom mieszkalny, ale wszystkie zabudowania, cały inwentarz martwy i żywy, bo 5 sztuk bydła, para koni, świnie. Wszyscy domownicy byli w polu przy sianie, nim się wrócili, to o ratunku nie było mowy. Przyczyna pożaru dotychczas nieznana; przypuszczają, że dzieci.

Niezwykły wisielec. W tych dniach po miasteczku Kętach gruchnęła wieść, że nad brzegiem Soły powiesił się jakiś mężczyzna, który ponadto trzymał w ręce rewolwer. Mieszkańcy tłumnie ruszyli na miejsce wypadku, gdzie ujrzeli rzeczywiście wiszącego na żerdzi mężczyznę, trzymającego w ręku jakiś błyszczący przedmiot. Gdy się jednak do niego zbliżyli, przekonali się, że jest to straszak na wróble, do ręki którego dowcipniś, co wisielca sporządził, zatknął szkło, które w promieniach słońca błyszczało jak rewolwer. Zebrani, odetchnąwszy ze strasznego pierwszego wrażenia, wśród śmiechu zniszczyli straszaka na wróble, aby nie straszył — ludzi.

(Ch. Sz.) **Nieszczęśliwy wypadek.** Dn. 30 czerwca b. r. w Gruszowie, na Śląsku austryackim, na szachcie Hubert, przy strzelaniu »śtreki« dynamitem, poszarpał wystrzał, nie wiadomo z jakiej przyczyny, trzech robotników tak, że nie byli podobni do ludzi. Dwóch z nich było żonatych, jeden kawaler. Wydobyto ich jeszcze żywych na wierzch i doktor Mitrzeli zaraz ich opatrzył. Jeden z nich, nazwiskiem Fabryka, umarł wkrótce, a dwaj inni prawdopodobnie nie wyleczą się z ran. Takie jest życie w kopalniach.

(R. S.) **Samobójstwo.** Dnia 2 lipca wieczorem przy miasteczku Frysztacie, na Śląsku austryackim, obwiesił się młodzieniec liczący około 19 lat. Dotąd nie wiadomo skąd pochodził i jak się nazywał, ale pogłoska chodzi, że to jakiś Czech, który się błąkał kilka dni po Frysztacie. Z jakiej przyczyny się powiesił, także niewiadomo.

Napad bandytów na plebanię. Przed niedawnym czasem w pewnej miejscowości na Śląsku, gdy proboszcz i dwaj wikaryusze spożywali obiad, weszło dwóch mężczyzn na plebanię. Jeden z duchownych, uchyliwszy drzwi, zapytał, w jakim celu przybyli. Nagle spostrzegł, że jeden z przybyszów trzyma w ręku rewolwer. Natychmiast cofnął się do pokoju, a w tejże chwili padło kilka strzałów. Księża, uciekając, wołali pomocy. Służący spuścił psy, a niebawem zgromadziła się dość liczna publiczność i policya. Bandyci ratowali się ucieczką, przyczem padały strzały z jednej i drugiej strony. Raniony został jeden policyant i jeden bandyta. Schwytani złoczyńcy nie chcieli zrazu wyjawić swych nazwisk.

Ojciec spalony przez dzieci. Niesłychanej zbrodni widownią była w tych dniach wieś Kupina, w Królestwie Polskiem. Okropność niecnego czynu powiększa fakt, że ukartowały go nikczemnie córka i synowa na zgubę ojca. W rodzinie Kurskiego, włościanina tej wsi, od dawna panowało istne piekło. Wadzili się wszyscy ze sobą, przeklinali, bili, a powodem nienawiści był przedewszystkiem ojciec, Kurski, który podobno majątkiem swym na niekorzyść córki i synowej rozporządził.

Przed kilku dniami obie nieludzkie kobiety upoiły Kurskiego tak silnie, że nie wiedział, co się z nim dzieje. Następnie położyły go na łóżko, poczem oblały naftą i podpaliły. Wkrótce potem łóżko wraz z Kurskim stanęło w płomieniach, a kiedy przybiegli ludzie na ratunek, nieszczęśliwy już był zwęglony.

Bomba w szkole. Zostawianie przy dzieciach nabitej broni palnej lub materyałów niebezpiecznych dla życia, z którymi tylko starsi obchodzić się umią, powoduje zawsze nieszczęśliwe wypadki. W pewnej miejscowości na Górnym Śląsku, majster wyrabiający ognie sztuczne, do których fabrykacyi potrzebne są materyały wybuchowe, jak proch, saletra i t. p., sporządził, nie wiadomo do czego, bombę. Bomba jest to puszka blaszana, napełniona materyałami wybuchowymi, która za uderzeniem o twardy przedmiot wybucha, raniąc lub zabijając znajdujących się w pobliżu ludzi.



Bombę ową zamknął do szafy, lecz pewnego razu, gdy szafę zostawił otworem, 10-letni syn jego niebezpieczną puszkę zabrał i wziął z sobą do szkoły. Kolegom przed rozpoczęciem nauki powiedział z tajemniczą miną, jaki to groźny przedmiot posiada. Każdy jednak pragnął choć wziąć do ręki niezwykłą rzecz, to też podczas nauki wędrowała bomba z rąk do rąk uczniów. Wtem, kiedy już zawędrowała z kolei do ósmego chłopca, nagle wybuchła straszliwie, raniąc kilku uczniów bardzo ciężko. — Straszną tę chwilę przedstawia nasz obrazek.

Bandyci w młynie. Bandyci, dowiedziawszy się, że młynarz w kolonii niemieckiej Jelino, w Królestwie Polskiem, niejaki Krzysztof Litke, sprzedał młyn za 600 rubli, wtargnęli do jego mieszkania, uzbrojeni w rewolwery. Pewni swej wygranej zażądali odrazu wydania pieniędzy, grożąc w razie odmowy śmiercią. Litke wystraszony sądził, że uda mu się ujść rąk bandytów, rzucił się więc ku oknu, chcąc przez nie wydostać się na podwórze. W ślad przecież za nim padł strzał z ręki jednego z bandytów i nieszczęśliwy Litke padł trupem. Świadkiem tego była jego żona, która zdołała wytłómaczyć bandytom, że pieniądze są na przechowaniu u jej ojca, sama zaś posiada wszystkiego trzy ruble.

Bandyci wzgardzili taką małą kwotą, a zrewidowawszy zwłoki, najspokojniej, przez nikogo nie ścigani, opuścili dom Litkego. Dopiero w jakiś czas potem zarządzono pościg, tym razem z pomyślnym wynikiem, bo obaj zbrodniarze wpadli w ręce policyi rosyjskiej, której nie często się zdarza ujmować zbójów, grasujących ustawicznie po miastach i wsiach Królestwa Polskiego.

118 lat życia. W Święcianach, w Królestwie Polskiem, żyje właściciel domu, niejaki Łaptiew. — W pierwszych dniach czerwca w domu jego wybuchł pożar, przy którym sędziwa jego siostra niebezpie-

cznie się poparzyła. Przy sposobności okazało się, że sam właściciel Łaptiew ma obecnie 118 lat, cieszy się czerstwem zdrowiem i dobrze pamięta czasy wojen Napoleońskich, oraz pobyt wielkiego cesarza na ziemi polskiej. A jest temu 99 lat.

Złodziej we wodzie. W jednem z mniejszych miast Austryi Dolnej zdarzył się niedawno wielce zabawny wypadek. Jakiś złodziej zakradł się pod nieobecność domowników do mieszkania robotnika kolejowego i ukradł nieco ubrań i pościeli. Gdy chyłkiem ze zdobyczą pod pachą wymykał się z owego domu, sąsiedzi zauważyli go i z okrzykiem: złodziej! łapać! puścili się za nim w pogoń. — Jak zwykle w takich razach bywa, gromada ścigających z każdą chwilą wzrastała, przyłączali się bowiem do nich przechodnie, lecz młody złodziej, szybki w nogach, umykał jak zając. Wśród goniących znalazł się jeden policyant, potem drugi i trzeci, ale szybkobiegacza złodzieja nikt przez długą chwilę schwytać nie mógł. Szczęściem w pobliżu ulicy płynęła rzeka, która oczywiście powinna była zatrzymać hultaja. Ten wszakże dobiegłszy do brzegu ani na moment się nie zawahał, lecz buchnął w wodę, porzuciwszy skradzione rzeczy, i począł płynąć.



W środku rzeki rozciągała się mielizna. Wyszedłszy na nią spostrzegł, że i na drugim brzegu stanęła garść ludzi zwabionych pościgiem, do których goniący wołali, aby go zatrzymali. Widząc, że dalsza ucieczka już na nic się nie zda, położył się na wznak na mieliznie i czekał, co policyanci stojący na brzegu wobec tego poczną. Ci nie kwapili się iść za nim do wody, lecz także postanowili czekać, wiedząc, że uciekinier nie będzie w wodzie nocował, lecz wkońcu sam do nich przyjdzie. I tak się też stało. Po godzinie tej niezwykłej kąpieli, wydostał się z rzeki zmoczony złodziej i poszedł obeschnąć do kozy. — Obrazki nasze przedstawiają ten śmieszny wypadek.

Niebezpieczny wieprz. W Natolinie, wsi w guberni lubelskiej, w Królestwie Polskiem, na podwórku włościanina Jakóba Zielonki, bawiła się 3-letnia jego córeczka Kasia. Zielonka, nie wiedząc, że córka jest na podwórku, wypuścił z chlewa wieprza, a sam poszedł do stodoły i zajął się pracą. Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk Kasi, wybiegł i oczom jego przedstawił się straszny widok, gdyż wieprz zdążył już odgryźć lewą rączkę dziecka.

Szaleństwo w samochodzie. Pewien fabrykant niemiecki, nazwiskiem Landemann, wyruszył sam samochodem swoim na przejażdżkę. Już w mieście puścił samochód na złamanie karku, i nie zważając na nawoływania policyi, pędził coraz szybciej. Dojechawszy do przedmieścia popędził jeszcze szybciej, przejechał parobka, nieco dalej dwie inne osoby, i nie oglądając się na nic pędził dalej. Dopiero po powrocie do domu okazało się, że Langemann dostał w drodze pomieszania zmysłów; oddano go do domu obłąkanych.

Doskonała broń. Pewien pomysłowy fabrykant niemiecki wynalazł niedawno niezwykłą broń, która obecnie pojawiła się u niektórych handlarzy pod nazwą rewolweru pozornej śmierci. Broń ta jest rzeczywiście niezmiernie ciekawa i oddaje znakomite usługi jako broń obronna przeciwko napadom opryszków. Rewolwery nowego systemu naładowane są specyalnymi patronami, które zawierają mieszaninę pewnych materyałów palnych i nieznaczny procent prochu strzelniczego. Strzał z owej broni powoduje wielką chmurę gęstego, gryzącego dymu. Dym ten, o niemiłej i przykrej woni, wdziera się w usta napastnika i pozbawia go przytomności na dziesięć minut. Napastnik wówczas pada na ziemię jak nieżywy. Po upływie 10 minut przychodzi zastrzelony do świadomości; strzał nie uczynił mu bowiem żadnej szkody na ciele i duchu. Ten, który strzelał z rewolweru nie pozbawił życia człowieka, a sam w chwili, gdy opryszek leżał nieprzytomny, mógł ratować się ucieczką, a nawet dać znać władzom o napadzie.

Przemytnicy na latawcu. Na granicy francusko-szwajcarskiej przemytnictwo kwitnie w najlepsze mimo czujności straży granicznej szwajcarskiej. Sprytni przemytnicy bowiem wpadają na coraz to nowe pomysły przekradania się z towarami przez granicę, w czem zrazu straż połapać się nie może. O najnowszym sposobie przemytników świadczy następujący wypadek. Z końcem czerwca podczas dość wietrznej i chmurnej nocy posłyszeli dwaj graniczni strażnicy jakiś podejrzany, coraz bardziej zbliżający się szum. Nadstawiali uszu na wszystkie strony, rozglądali się, wybiegali w różne strony, lecz zrazu nie mogli wyrozumieć tego dziwnego zjawiska. Naraz drobny deszcz zaczął kropić i jeden z nich spojrzał w górę, czy zanosi się na dłuższą ulewę, gdy wtem ku najwyższemu zdumieniu ujrzał prawie tuż nad głową, na znacznej dość wysokości, wyraźne zarysy latawca, który walczył z wichrem i czynił wrażenie, że człowiek w nim siedzący chce wylądować. Pobiegł więc do pobliskiego domu strażniczego, pobudził towarzyszy i kilkunastu uzbrojonych strażników z latarniami w rękach w parę minut potem było świadkami, jak maszyna, rzucana wiatrem na boki, bez wypadku spłynęła na równinę.



Niczego nie przeczuwając, strażnicy zaopiekowali się dwoma lotnikami, którzy z latawca wysiedli, zapytując ich co są za jedni i dokąd lecą po nocy. Maszyna latająca, to rzecz zawsze ciekawa, oglądali ją więc dłuższą chwilę z latarniami, gdy naraz jeden zauważył leżący na dnie jakiś pakiet. Zapytał podróżnych, co zawiera, a gdy niejasno zaczęli się tłómaczyć, rozpakował go i przekonał się, że jest w nim jedwab szwajcarski. To strażników odrazu przekonało, dlaczego ci panowie lecą nocą, zdążając do Francyi, z miejsca więc ich zaaresztowali. Na takie to sposoby biorą się już przemytnicy szwajcarscy! Obrazek nasz przedstawia ten niezwykły w przemytnictwie wypadek.

Złodzieje na koronacyi w Londynie. Jak donoszą z Londynu, uroczystości koronacyjne były prawdziwem żniwem dla złodziei kieszonkowych, którzy, korzystając ze ścisku i ogólnego gapiostwa, dokonali niesłychanej liczby śmiałych kradzieży. — Dość powiedzieć, że nawet burmistrzowi Londynu wyciągnięto z kieszeni w chwili, gdy oczekiwał na króla, zegarek drogocenny. Słysząc zewsząd narzekania, żołnierze pełniący służbę podczas uroczystości koronacyjnych, zaczęli na własną rękę śledzić złodziei, podobno jednak ujęli niewielu.

Zrośnięte bliźnięta. Pewna włościanka w Rumunii powiła ubiegłego tygodnia niezwykłe bliźnięta. Dzieci te posiadają dwie głowy, cztery ręce i cztery nogi. Do środka piersi stanowią dwa ciała odrębne, tu jednak łączą się w jedno, z wspólnym żołądkiem, oraz innymi organami. Wyrastające znów z tego wspólnego tułowia dwie pary nóg są normalnie rozwinięte, jakkolwiek nieco skrzywione. Proboszcz miejscowy ochrzcił dziwną tę istotę, nadając jej imiona Bazylego i Jerzego, ale urzędnik stanu cywilnego zwrócił się do władz wyższych z zapytaniem, czy ma wciągnąć do ksiąg jedno czy też dwoje dzieci.

Dowcip wielkiego lekarza. Gdy umierał znakomity lekarz i uczony francuski Demoulin, u łoża jego zgromadzili się najlepsi medycy francuscy. W pewnej chwili uczony, którego zawsze cechował dowcip, podniósł się na łożu i rzekł: »Przyjaciele moi, strata ma dla nauki nie jest tak dotkliwa, ponieważ zostanie po mnie trzech najwybitniejszych lekarzy«. Obecni w przypuszczeniu, że umierający ma na myśli kilku z nich, z natężeniem słuchali słów sławnego kolegi, który ciągnął dalej: »Lekarzami tymi są: woda, przechadzka i umiarkowanie w jedzeniu«.

Kobieta wodzem powstańców. Pisaliśmy w swoim czasie o powstaniu w Meksyku. Jak każde powstanie nie było i to podobne do wojny regularnej, nie wszyscy Meksykanie mieli jednaką broń, bitwy wybuchały często z zasadzek na wojska rządowe a brali w nich udział i bardzo młodzi zapaleńcy, a nawet — kobiety. Jednę i to najwybitniejszą z pośród walczących niewiast, do pochwycenia za oręż spowodowało najstraszniejsze nieszczęście, jakie tylko żonę i matkę spotkać może. Męża jej, Talamantesa, będącego jednym z przywódców powstania, wojska rządowe schwytały i razem z dwoma synami, którzy również dzielnie walczyli jako powstańcy, powiesiły na szubienicy.



Przejęta nie do opisania bólem kobieta postanowiła pomścić śmierć męża i dzieci i w tym celu zorganizowała oddział powstańców, który niejednokrotnie dał się porządnie we znaki wojskom rządowym. Kobieta-wódz złożyła wysoką kwotę pieniędzy dla tego śmiałka, co pozbawi życia jenerała, z którego rozkazu stracono jej męża i synów. Nasz obrazek przedstawia ją na koniu, w rynsztunku wojennym, na czele swego oddziału.

W jaskini wężów. U nas, w naszym klimacie wielkich i jadowitych wężów niema. Żmiję tylko niekiedy spotkać można w lesie, często zaś bardzo małego zaskrońca, który jednak nie jest niebezpieczny i człowiekowi nic złego nie robi. W krajach gorących wszakże roi się od wężów wszelkich rodzai, wśród których wiele jest złych i jadowitych. Jak jednak nawet takie stworzenie jak wąż, człowiek przez nieczynienie mu krzywdy może unieszkodliwić, a nawet obłaskawić, dowodem wyspa Jawa, leżąca między Azyą a Australią. W pewnych jej stronach wąż uchodzi za święte zwierzę, lud go czci i podaje mu pożywienie; pogański ten zwyczaj trwa tam od dawien dawna, to też węże żyjące na Jawie w ogromnej obfitości, nie są nieprzyjaciółmi ludzi.



W pewnem miejscu znajduje się duża jaskinia, zamieszkała przez węże najrozmaitszych gatunków, różnej wielkości i ubarwienia skóry. Węże te wieczorami, o chłodzie, zazwyczaj opuszczają swe gniazdo i wysuwają się na przyległe pola, szukając żeru, niektóre zaś zaglądają do najbliższych chat i stajen. Na widok takiego gościa mieszkańcy bardzo się radują, uważają bowiem te odwiedziny za szczęśliwy znak i suto częstują węże mlekiem, które one bardzo lubią. Niektórzy Jawajczycy zachodzą bez obawy nawet do straszliwej jaskini. Jest pewien starzec, którego węże tak znają i lubią, że gdy go spostrzegą, suną ku niemu z łbami podniesionemi ku górze, opasują mu nogi, pozwalają się brać do ręki. Starzec zaś, chcąc je ucieszyć, gwiżdże im różne piosenki, których słuchają nieruchomo z wielką przyjemnością i zajęciem. Takie odwiedziny jaskini wężów widzimy na naszym obrazku.

Niezwykły powód do rozwodu podał przed sądem w Nowym Jorku bardzo stary mąż bardzo młodej żony, niejaki Wiliam Hayes. Ów 70-letni jegomość przed kwartałem poślubił śliczną 22-letnią panienkę. Lecz miłość jego przemogły względy oszczędnościowe. Pan Hayes, pragnie pozbyć się żony, albowiem zjada ona zbyt wiele. Zaraz po drugiem śniadaniu gotowa zasiąść do obiadu, wieczorem może zjeść dwie kolacye. Utrzymanie dzienne tej kosztownej żony, wedle obliczeń jej strapionego małżonka, wynosi do 125 koron miesięcznie. Przy takim apetycie może go doprowadzić szybko do ruiny. Sędziowie jednak nie uznali tego za dostateczny powód do rozwodu. Pani Hayesowa będzie więc w dalszym ciągu szturmowała swoim apetytem do kasy pana Hayesa, co staremu skąpcowi może nawet skrócić życie.

Solenie koniczyny i siana. Nieraz się zdarza, że w czasie sianokosów częste deszcze przeszkadzają sprzętowi. Ażeby w koniczynie lub sianie utrzymać wilgoć, bardzo dobrze jest solić ją w czasie zwożenia z pola. W tym celu bierze się jeden funt soli kuchennej, (może być lichszego gatunku, tańsza), na cetnar siana, a do koniczyny to i półtora funta

za dużo nie będzie. Układa się warstwę koniczyny i potrząsa się solą, jak kapustę w beczce, potem znów kładzie się drugą warstwę i soli ją jak wprzód. Gdy damy taką ilość soli, to nie potrzebujemy koniczyny i siana dokładnie dosuszać na pokosach, można wozić nawet trochę wilgotną a nie zepsuje się; nawet zaleca się trochę wilgotną paszę sprzątać, sól wtedy zmięknie, cała masa zwilgotnieje, tak, że nawet na wiosnę będzie jeszcze wilgotna a zielona, jakby dopiero z pola była zebrana.

Jak się utrwala gontowe dachy? Najprostszy, najtańszy i najlepiej zachowujący drewniane dachy środek jest tak zwane mleko wapienne. Gonty powinny przed przybiciem poleżeć 2—3 dni w mleku wapiennem, które należy od czasu do czasu zamieszać; przez to stają się zupełnie odporne na wpływy pogody a nawet ognia. Wchodzące do porów wapno czyni bowiem gonty trwałymi i trudno zapalnymi. Postępowanie przy tem jest bardzo proste. Wiązki gontów wstawia się sztorcem do napełnionego mlekiem wapiennem naczynia, należy je tak napełnić, aby wiązki były zupełnie nakryte. Po 2—3 dniach wyjmuje się je i stawia na drążkach, aby ociekły. Po powierzchownem oschnięciu na słońcu można je już użyć. Przy dłuższem przechowywaniu przed użyciem, należy gonty po wyschnięciu ustawić pod szopą, aby deszcz wapna znowu nie spłukał. Na dachu osychają gonty bardzo prędko. Im suchsze były przed impregnowaniem, tem obficiej przejdą wapnem i tem trwalszy będzie dach, pokryty takimi gontami.

Pożytek z trocin. Trociny, tak często lekceważone w gospodarstwie wiejskiem, mogą oddawać w ogrodzie warzywnym znakomite usługi. Jako pożywienie roślin nie mają one żadnego prawie znaczenia, ale szybko wzbogacają ziemię w próchnicę. Trociny przykopywane w stanie świeżym, tak jak i torf, zbijają się w kupki, które się nasycają wilgocią i długo ją utrzymują. Takie gniazda w lata mokre mogą spowodować gnicie korzeni. Dlatego też zaleca się składanie trocin na stosy w pomięszaniu z wapnem, częste ich przekopywanie i polewanie.

Austro-Amerykana. Wykaz dochodów ruchu i odbytych mil morskich od stycznia do końca kwietnia 1911.

Przychód do końca kwietnia 1911 K. 9,961.028, 1910 K. 9,430.807, zatem więcej o K. 530.221.

Ilość odbytych mil morskich do końca kwietnia 1911: mil 500.300 — 1910: mil 514.591, zatem mniej o 14.291.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Józef Mazurkiewicz w Ł.: Numera brakujące wysłaliśmy — należy się 70 hal. Można posłać w markach pocztowych.— Stefan Cupryś: Humoreskę otrzymaliśmy. — Józef Kobylański w B.: Przesyłamy serdeczne gratulacye z powodu pomyślnego wyniku i prosimy o pamięć. — Józef Byrski: Bajkę otrzymaliśmy — dziękujemy. — Chmura Szymon w G.: Za życzliwe słowa dziękujemy. Kronika w numerze. — Stanisław Habura w R.: »Rolę« wysyłamy dopiero wtenczas, gdy otrzymamy prenumeratę — inaczej nie możemy. Ludwik Adamaszek w L.: Należy wnieść zażalenie do Izby adwokackiej. — Walenty Dyło w S.: A widzi pan, że mieliśmy słuszność występując przeciw Stojałowskiemu. Przecież to wstyd, aby kapłan katolicki polecał głosować na socyalistę. Wszak socyaliści, gdzie mogą, szkodzą religii katolickiej, a niedawno, bo przed dwoma laty, w Królestwie Polskiem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nogami podeptali. A któżby zliczył te tysiące oszczerstw, jakie rzucają na najzacniejszych kapłanów, aby ich wobec wiernych zohydzić. — Jan Stypuła w Ł.: Powieści, które w dzisiejszym numerze zaczynamy drukować, są nadzwyczaj ciekawe. Kalendarz na 1912 r. przygotowujemy bardzo piękny i ciekawy. — Słowik Józef w U. S.: Otrzymaliśmy 4 K. i ma Pan zapłaconą prenumeratę do 1 czerwca 1912 r. Zaszła tylko pomyłka w druku. — Jan Kisielewicz w B.: Numer 11 i 13 wysłaliśmy, drugiego już brak zupełny.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKI.

(Ułożył Górnik).

a)

Gdy mię ludzie chcą urządzić
Muszą w lasach, polach błądzić,
Lecz i wstecz dam się przeczytać,
Przez co można zwierzę zyskać.

b)

Jestem wyraz dość ciekawy,
Wprost — prowadzę do poprawy,
Kto mię dużo wstecz używa,
Tego prędko śmierć w grób wzywa.

2. SZARADY.

(Ułożył Arkadyusz Szarek z S. W.).

a)

Pierwsza z trzecią — na skrzyniach ich macie,
Drugie — dużo znajdziesz ich w warsztacie
U stolarza. Całość — zwierzę małe,
Które w lesie spędza życie całe.

b)

Pierwsza znaczy tyle, co »naciska«,
Druga z trzecią — to ozdoba ptaków,
Całość — ptak to, z wyglądu, z nazwiska,
Z głosu znany każdemu z wieśniaków.

c)

Pierwsza z trzecią natenczas powstaje,
Gdy bez ładu złożysz dużo rzeczy,
Pierwsza z czwartą — skąpemu się daje
Taką nazwę; druga z trzecią — cieczy
Imię, którą z ziemi się dobywa.
Całość — ptak, co w zbożu się ukrywa.

3. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Józef Durak).

1	2	10	9	2	Inaczej dołek.
2	11	5	12	13	Imię męzkie.
3	5	14	9	2	Inaczej noc.
4	8	15	8	16	Rzeka na Bukowinie.
5	17	7	8	4	Zboże.
6	8	15	9	18	Tak wołamy na żyda.
7	19	15	2	10	Inaczej bawię się.
8	20	5	9	2	Okres czasu.
4	5	16	8	15	Imię męzkie.
9	2	3	7	2	Ptak drapieżny.
7	3	11	21	9	Ptak domowy.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko króla polskiego, a końcowe czytane z dołu do góry dadzą imię i nazwisko wodza nieprzyjaciół, których pobił.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 16 lipca 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 26 *Roli*: 1) Szyjka flaszki: **Posłowie - parlament,** 2) Szarada: **Paschalis,** 3) Łamigłówka: **Królestwo polskie,** 4) Zagadka: **Zegar,** 5) Łamigłówka: **Kiedy klon wcześnie opada, ostrą zimę zapowiada.**

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

J. Głowacz z Ż., S. Franczak z P., F. Teper z M. K.. I. Warzała z Ł., A. Bezokówna z K. m., W. Flis z L. g., R. Kula z M. K., H. Łukawski z J., A. Warchoł z Ł., J. Juśkiewicz z B., Z. Bogdański z I., A. Żebrok z B., P. Juroszek z I., J. Brzeziański z K., J. Hirszberg z K., W. Pietrucha z Rz. N., J. Kajzer z J., P. Grudek z B., W. Wołowiec z S., Jan Mirowski z Z., Józef Gibas z P., Wojciech Rojek z P.

Pierwszą nagrodę p. t. ***W obłokach*** wylosował **p. Jan Mirowski** z Z., zaś druga p. t. ***Rozrywki*** **p. Wawrzyniec Pietrucha** z Rz.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczna po dwie korony przysłali PP.:

Stanisław Rosiewicz z P., Karolina Sitko z P. O., Bajger Antoni z G. S., Jan Świątłoch z Cz., Józef Wolf z S., Jan Gidecki z A., Wojciech Koziarz z S., Grzegorz Mondziel z P., Jakób Nidecki z D., Józef Wilk z T., Józef Płatkowski z M., Jakób Węglarz z K., Stanisław Zaucha z L., Kajetan Mierzwa z K., Michał Szmyd z K., Antonina Łyżnicka z H., Deręgowski Franciszek z D., Marcin Kurek z M., Wiluszyk Józef z B., Jan Romańczyk z Ch., Marcin Pabula z S., Franciszek Masłowski z H., Józef Skoczylas z B., Józef Ptaszek z B., Wincenty Stetz z U., Szczepan Śmiałek z B., Aniela Stana z W. G., Wojciech Domaradzki z P., Józef Łazowski z W., Józef Brychlec z G. T., Józef Kołder z K., Wawrzyniec Pietrucha z Rz., Antoni Maj z F., Tomasz Michałek z I., Tomasz Kosmaty z B., Józef Paja z K., Stanisława Zyblikiewicz z H., Szewczyk Błażej z K., Stach Józef z J., Jan Marszałek z B., Franciszek Nowak z J., Jędrzej Ciepiela z B., Pelc Jan z K., Józef Seifter z E., Jakób Maciejowski z Cz., Karol Styskała z W., Karol Spiwla z Z., Szlachta Ignacy z Z, Reichard Stefan z P., Albus Karol z K., Sędorek Piotr z R., Strasser Józef z Cz., Grześ Paweł z P., Jan Michnik z B., Franc. Suchy z B., Śmiałek Walenty z D., Józef Fijał z M., Józef Gruszka z W., Marya Zurek z O., Michał Chorzępa z N., Jan Żółty z B., Antoni Durański z Ł., Jan Sosnowiec z Ł., Jan Guzik z N. T., Michał Myjak z K., Franciszek Piechnik z K., Franciszek Stypuła z K., Franciszek Dymek z K., Franciszek Niemczykiewicz z K., Józef Hermański z Ch., Antoni Bartosik z B., Stanisław Łyszczarz z J., Kiełb Bolesław z K., Karol Zięba z B., Wojciech Wykret z Cz., Potoczny Wawrzyniec z H., Dzióbek Henryk z J., Sacha Józef z Z., Korman Wawrzyniec z P. U., Moskwa Franciszek z S., Grzegorek Jan z P., Kółko rolnicze z B., Porębski Piotr z W., Stanisław Habura z R., Franciszek Kolano z W., Józef Chłopek z Sz., Józef Szczybrocha z Cz., Zygmunt Machalica z Z., Franciszek Błatoń z R., Franciszek Lebiedzik z M. K., Karol Cieślar z P., Karol Mrozek z C. g., Józef Then z Ż., Józef Więch z D., Antoni Turek z C., Franciszek Marusza z B., Stanisław Ćwiąkalski z B. M., Józef Tyrna z B., Michał Nizioł z K., Franciszek Małysz z Ł., K. Zaborski z O., Jan Paszek z K, Józef Harabasz z P., Michał Kuziara z Ż., Władysław Górka z W., Tomasz Moroń z P., Floryan Pohl z K., Michał Augustyn z W., Władysław Bąk z Ł., Kalityński Władysław z P., Ochodek Franciszek z S., Błażej Kuździał z Z., Julia Krupkowa z O., Eleonora Palkowa z Ch., Alojzy Popiołek z Z.

Prócz tego przysłali: Ignacy Wróbel z M (2·92 K.), Beczała Antoni z Cz. (2·70 K.), Dominik Stesłowicz z W. (1 K.), Andrzej Kucharski z U. S. (1 K.), Michał Słaba z K. (1 K.), Julian Gromada z R. (2·40 K.), Jędrzej Chmielowiec z T (2·50 K.), Stefan Bik z R. (1 K.), Jonkisz Franciszek z B. (1 K.), Przewoźnik Jan z Z. (4 K.), Przybyła Franciszek z Z. (4 K.), Andrzej Kuchar z H. (1 K.), Franciszek Trzyna z D. (70 hal.), Jan Obłoj z G. (1 K.), Wojciech Kawiński z P. (1 K.), Antoni Wróbel z Z. (1·72 K.), J. Czerniecka z S. P. (3 K.), Moc Józef z P. (1·45 K.), Jan Fryc z W. B. (1 K.), Heliński Kazimierz z W. (1 K.), Andrzej Molin z Ł. (1 K.), Lucyan Żurek z D. (1 K.), Jan Jamróz z B. (4 K.), Walenty Gnidziński z S. (3 K.), Tomasz Sularz z S. (1·50 K.), Antoni Jeniec z T. (3 K.), Wiktor Śniegocki z H. (1 K.), Antoni Gamrot z P. (4·30 K.), Pelagia Ražna z S. (3 K.), Kazimierz Robaczyński z S. (4·18 K.),

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 4 lipca:

Buhaje	Kor.	180	do	200	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	170	„	270	„
Jałówki	„	120	„	140	„
Cielęta	„	28	„	70	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	144	„	159	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 4 lipca:

Pszenica	Kor.	11·95	do	12·45	za 50 kg.
Żyto	„	8.70	„	9·10	„
Jęczmień	„	8.60	„	9·25	„
Owies	„	9·50	„	10·25	„
Otręby pszenne	„	6·10	„	6·15	„
Otręby żytnie	„	5·75	„	5·85	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.